JAN G. H. PAWLIKOWSKI

BAJDA O NIEMRAWCU



BAJDA O NIEMRAWCU

BIBLIOTEKI MEDYCKIEJ OPUS 5

J. G. H. PAWLIKOWSKI

Bajda o Niemrawcu

Z DRZEWORYTAMI WŁ. SKOCZYLASA

MEDYKA
NAKŁADEM »BIBLIOTEKI MEDYCKIEJ«
SKŁAD GŁÓWNY: »DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ« S. A. W WARSZAWIE
MCMXXVIII

ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

TOWARZYSZOM MŁODOŚCI

»Bajda o Niemrawcu« nie jest opowieścią ludową ani opowieścią o ludzie. Tłem jej jest świat górski a aktorami jej są mieszkańcy gór; etnograficzna zaś plastyczność była autorowi jedynie środkiem do wydobycia tem silniejszego kontrastu pomiędzy życiem realnem a światem wyobraźni. Wszystko też to co w niniejszem opowiadaniu przelewa się poza brzegi realizmu, występuje jednocześnie z ram prawdy etnograficznej.

Mitologiczne postacie z »Bajdy« w legendarnym świecie tatrzańskim nie istnieją. Podkład do stworzenia tej jakby próbki mytu dały autorowi dwa szczegóły jakichś opowiadań za chłopięcych lat zasłyszanych. Jeden, to »gniazdo« i »młode« wiatru halnego w dolinie Pańszczycy, bez jakichkolwiek bliższych określeń. Drugi, to rodzaj przesądu o porywaniu tych, co serdaka nie dopną w czas wiatru. Do tego dodać by należało żartobliwą przymówkę o dziewczętach, które wiatr przyprawił o macierzyństwo.

Oczywista że dla zachowania plastyczności, górale z Bajdy musieli pozostać przy swym rodzimym języku. Gwara jest wytworem życia danego ludu i jego zwierciadłem, niemożebna więc, nie odbierając charakteru samym mówiącym, zastępować ją językiem t. z. literackim, który jest, dzięki sztucznym, naukowym uproszczaniom, językiem bez charakteru. Niechęć Czytelnika do pisanej gwary jest zupełnie zrozumiałą, o ileż jednak większą trudność sprawia jej pisanie! Dopóki nie zaistnieją odpowiednie czcionki drukarskie dla pochylonych samogłosek *a*, *e* oraz *y*, — dopóki nie zostaną w jakiś sposób ustalone granice w dowolności interpretowania wymowy ludowej, dopóty gwara podhalańska skazana będzie na pisownię fonetyczną ze swoim odstraszającym wyglądem. W pisowni fonetycznej spotyka się przytem często dziwolągi powstałe z nadmiernego koszlawienia słów, które nie dają laikowi zgoła pojęcia o języku ludowym, pięknym jak stare, drewniane kościoły, suggerują natomiast mylne przekonanie o jego prostackiej indolencji. Większość bowiem inteligencji, dzięki upartej niechęci do powierzchownego bodaj studjum historyczno-językowego niewie o tem, że to właśnie nasz literacki, »pański« język zubożony został przez uproszczenia pisowni i, co za tem idzie, nienaturalne wymawianie, że za tem język ludowy jest bogatszy w dźwięki i muzykalniejszy, a jego wymowa nie jest dziawoleniem dziecka. Wystarczy zresztą zainteresować nieco słuch muzykalny, aby się o tem przekonać.

W niniejszej książce unikano zasadniczo zbytecznej deformacji słów, pisząc czysto fonetycznie jedynie w miejscach, w których ze względów wspomnianych wyżej, konieczność oryginalnego brzmienia nieodparcie się narzuciła. Pisownia nie jest przeto jednostajna.. Ponieważ tekst nie został też przeładowany niezrozumiałymi dla ogółu Czytelników wyrazami, autor ma miłą nadzieję, że lektura nie sprawi Im żadnych trudności.



ROZDZIAŁ PIERWSZY.

JAKO SIĘ TO WOJTEK BRAŁ DO JEWKI I JAK SIĘ OBOJE STRACHU NAJEDLI.

— Pogoda bedzie.

— Tak sie widzi, hfałoz Panu Jezusowi!

Orzekli — bo się już tak wszystko widziało. Orzekli — ale się jeszcze niepewnie obzierali co dnia po niebie, czy gdzie z za wirchów kłębiaste chmury nie wyłażą, czy zachody nie za czerwone, badali powietrze, czy się w niem dalekości zbyt blizkie nie wydają, czy się przez nie odległe głosy zbyt wyraźnie nie niosą, a i czy dym pięknie w górę ciągnie, a i czy jaskółki ku słońcu wzlatują, a i czy wieczory dość rosiste. Wszystko to pokazywało na pogodę, a i święta Łuca też, choć jej się tam przepowiednia na lato nie bardzo udała, obiecywała zato napewno piękną jesień.

Słota psociła przez całe niemal lato, pastwiska obracając w młaki, strumienie w rzeki a drogi w nieprzebyte błocka, siekła mizerne zboża, po których się już przedtem i wiatry wyhulały do syta. Wiatry były okropne. Nawycinały ci też wyziorów po leśnych zboczach, nawaliły smreków kupy, połamawszy lub sprzewracawszy z korzeniami.

Pogoda będzie.

No dobrze. Od regli wiał chłód wilgotny ku słonecznej nizinie, leśne drogi spadziste lśniły jeszcze ślizgą glinką i mokrym łupkiem, nie mogąc tak rychło oschnąć w cieniu drzew, choć słońce od dni wiela już piekło.

Popołudnie miało się ku końcowi. Ptaki furkały wysoko pod wyblakłem niebem, zapadały w gąszcz i warcholiły tam, chcąc się jeszcze dosyta naćwierkać, zanim je nocna śpiączka ogarnie. Lekkie pasma chmurek zaczynały różowieć, słońce stawało się zwolna bezpromiennym krążkiem. Powietrze, nie nazbyt się od niego w ciągu dnia nagrzawszy, w wydłużonych cieniach chat i drzew było nawet dość chłodne. We wsi był spokój niedzielny i na polach nikogoś nie uwidział.

Jarząbków Wojtek, chłopczysko dość zgrabne i wyrośnięte, wlókł się pustą drogą ku reglom. Jakaś myśl uporczywa go zajęła, bo zesunąwszy kłobuk na czub głowy, patrzał jeno na ziem przed stopy i gryzł zawzięcie piporas od fajki. Droga tam wchodzi w las i pnie się ciasnym wądołem, wywodząc wkońcu na polanę u wylotu doliny wciśniętej pomiędzy regle do stóp skalistych wierchów. Na tem odludziu, u skraju lasu, siedziało wonczas chacisko zgrzybiałe i płone, o dachu osobliwie wysokim i stromym, ciążącym nadmiernie na niskich ścianach. Pod nachylonym jego przyłapem kryły się na niskiej podmurówce dźwirza izby mieszkalnej i otwór krówskiej stajenki. Obok dobudowano koślawą pajtę. Wystający z ziemi daszek piwnicy na grule i coś w rodzaju ogrodzenia z żerdek, dopełniało skromnego obejścia. Przed zagrodzeniem przechodziła dróżka a w urwistym jarze za chałupą szumiał kędzierzawy potok, tensam nad którym dalej, w równinach, pobudowali się wsiacy.

Właśnie kiedy Jarząbkowy Wojtek wylazł z lasu na polanę, krzątała się przed chatą rosła i urodziwa dziewka. Ujrzał ją zdala i przystanął, pozierając chwilę z niemym zachwytem.

Zbliżył się, wyjąwszy fajkę uchylił kapelusza i pochwalił Imię Boskie. Spojrzała przelotnie.

— Niegze bedzie na wieki. Coz ta powiés?

— E dy ta nic nowego...

Nawykła widno do tych odwiedzin, nie krępowała się niemi wcale. On patrzał na jej robotę, pociągał dym, spluwał i milczał, ale jakby nabierając rozpędu do gadania. Wkońcu, z nagłem zdecydowaniem otarł wargi grzbietem ręki i fajkę wsunął w kieszeń.

— Kanyz matka?

— Na niesporze we wsi.

— Tyś nie posła?

— A ftoz doma ostanie?

— Dy dum nie pies, nie ucieknie.

Oparł ręce na żerdce i począł się raz w raz przyciągać i odpychać.

— Wiés przecie Wojtek, ze nie rada dołu chodze. O ludzi nie stoje ani o gadanie, coz mi z niesporów? Pambóg i z haw ztela moje paciérze dosłysy.

Wyprościła plecy, odgarnęła włosów i wskazała głową ku izbie.

— Wejdze.

W izbie przysiadł na ławce i rozważał coby rzec. Przez małe okienko widać było u wylotu szerokiego wyzioru leśnego, rozjarzony półkrąg zaryty w grań dalekich wzgórz.

— Hfałoz Bogu, pogoda. Kieby ino wytrzimała. Owsy ta moze bedom jakie takie. A tak sie widziało, ze nas tu doznaku woda zaleje.

— Ej wody béło doś! A onacyliście ta co z wasym młynem? Móg se był przecie stary Jarząbek stawidła zryktować i puścić trohe téj wody na młyn.

— E, coby ta mełł! A chojby i miał co, młyn juz z pietnaście roków nie chodzi. Ja, to ani nie bace, cyk go kie widział chodzić. Drzewiéj to ta i mełł, ale ociec, kie go zamuliéło raz i drugi i trzeci, koło mu het urwało, stawidła z wodom posły — jakby sie djasi sprzisięgli — nie fcioł wiency przi młynie onacyć. Ostawił. Klon brzyćko i knie jale ani pazdurem nie rusy. Boi sie a boi. Łońskiego roku fcioł go przedać, jale zol béło plocu. Mamy go zaś ozbiérać.

— Cy mu sie djasek we młynie pokazoł, staremu?

— Pedzioł byk ci, ale mi głupio. Wiés co ta ludzie fajfrzom o jakichsi ciertach i płanietnikach i inse bajdy...

Roześmiała się głośno.

— Haj! Starom Leśnom, mojom opiekunke, radzi płanietnicom okrzcili!

— No. Ociec pirsy o tém gado. Pado co nie darmo baba chałupe wyséj młyna przi potoku postawiéła.

— Dy jéj przecie nie postawiéła, ba stoi tu od casów!

— Stoi bo stoi, jale on swoje: a przisięgował ci djasek ze sam onéj zatraconej budy nie stawioł. Ni? No to nie gadoj! Kiebyś béł teli co dziś kie sie jesce po nasym młynie woda lała, nie fciołbyś zazirać do chałupy Leśnéj! A pote knie na twojom krzesnom i taki ozpajedzony krzicy ze mi nie broni popod okna chodzić ino nie pod Corny Regiel...

Hałaśliwy wybuch wesołości zwalił ją z nóg na ławkę obok niego. Śmiał się i on, rad że w ostatnich kilku słowach wjechał wreszcie na upragniony temat, śmiał się, aby podsycić bardziej jej uciechę. Przysuwał się ku niej bliżej, chichotał w samo ucho, w śmiechowem zakołysaniu przywierał do niej całym bokiem. Po chwili ramię jego znalazło się za jej plecami, a ręka jęła się suwać po jej boku od pachy do biodra, od biodra do pachy. Gęba mu się nie zamykała, plótł i bajał, aby jej tylko nie zbra-



kło sposobności do śmiechu i nie zważania na jego ruchy, nibyto od niechcenia.

— To stary nie fce, cobyś ku nam chadzował?

— No, dy i twoja stara nierada mie tu widzi. Ale co? Abo to inse dziwki lepse od cie?

— Is go! Nie gadołbyś...

Ośmielał się.

— Telo lepse ze nie pcha ku nim, tak jako ku tobie. Mało to ja o ciebie mam ze starym Jarząbkem? Mało mi to nawyklina, napsiekrwi?!

Śmiech i zakołysanie, biodro przy biedrze, twarz przy twarzy i wędrówka palców poniżej pachy a krzynkę do przodu.

— Nie nońdzies takiéj jakoś ty jest, chojbyś od Rabic do Mikułasa sytkie dziedziny przeseł...

— Hahaha, coz ja temu minowata, ze mie Pambóg wielkoludem na świat stworzył?

— Raty! Dy taki wielgi wej to chyba drugi bedzie Wawrzek Zmarzły Marusański, albo stary Dziadoń z Brzegów. Widziałek tyz takiego Luptoka jednego, jale ten był ślepy na jedno oko.

A kiedy sobie tych dwoje tak wesoło przygwarzało, zachodzące słońce zalało tymczasem izbę światłem, od którego poczerwieniały ich twarze, białe rękawy i biały piec.

— Ludzie, ludzie, taki cyrwony zachód, kieby znowu na wiater okrutny! — Ale Wojtek niedał sobie przerwać.

— Chojeś taka wielga i choj telo gadajom o staréj Leśnej, ja sie ta nie boje. Nazwali jom ludzie płanietnickom, mogom i ciebie dziwozonom nazwać, abo ta niewiem jako, ja ta telo o to dbam, co o pustom fajke... — szeptał jej głośno przez ramię w ucho i nagle obie jego obejmujące ją ręce, obliczonym ruchem posunęły się w górę po katance i ułapiły mocno za twarde wy-

puklizny. Myślał może że wrzaśnie i pocznie się nibyto wyrywać a potem drożyć uciesznie, jak poniejedna Kaśka czy Bronka, co to chcąc, udaje że niechce. Ale zaraz pożałował, że zszedł z podstępnej a delikatnej drogi. Jewka nie wrzasła wcale, zachichotała tylko, pochyliła się wprzód, rozplatając łaskotliwy uścisk, potem spokojnie wstała; a gdy się porwał i usiłował zniewolić ją do pozostania przy sobie, wzięła go krzepko wpół, posadziła na skrzyni i śmiejąc się, przytrzymała za bary.

— Siąńdze, siąńdze.

Wojtek sapnął gniewnie.

— Silnaś jest beskurdyjo, ale zawdy dziwka. Ja ci sie nie boje!

— Bój sie, nie bój, mocom se mnom nic nie skonas.

— No to pockam. Pockam psiakręć. Cierpliwie pockam, bo mie ku tobie ciągnie, jak na powrózku... — mruczał zajadle. Puściła go. Siedział odęty i zły.

— Wojtuś, gniéwas sie?

Nie odrzekł nic, bo go w tej chwili zajęło co innego. Ciszę, w której szumiał tylko potok płynący za domem, zamącał teraz huk daleki, rosnący z chwili na chwilę. Nagle zaszumiały głośno rozchybotane smreki.

— Halny w górach hucy. Mało go jesce bélo... — westchnął Wojtek. Wyjrzeli przez okno. Drzewa czerniały nieruchome znów na tle czerwonego jeszcze nieba. Noc zapadała.

— Ustało. Wiater bedzie...

Siedzieli wsłuchani w nieśmiałe, żałosne zawodzenie komina. Kiedy się jękliwiej zaniosło, zaraz też głośniejszy szedł poszum od lasu, czasem trzasło coś gdzieś cicho, niewiadomo co i gdzie. Milczeli. Czyto z winy nieudałych zalotów, czy też, że ich dziwnie niemrawo nastrajał rozpaczliwy jęk komina.

Jewka przerwała milczenie.

— Słyszis, jako ludzka biéda nad swojom nędzom płace?

Roześmiał się hałaśliwie, aby przemódz wreszcie nieznośny nastrój.

— Bajto! Cy to u hrubego gazdy samotak w kominie nie piska?

Wstała i opatrzyła żar w piecu. Za chwilę plamiste migoty rozświetliły mrok izby. Bury kot wylazł z jakiegoś kąta, przeciągnął się i skoczył Jewce na kolana.

— Coz téj krzesnéj tak długo niewidać?

— Pewniebyś rada cobyk juz seł, bo jak mie tu stara Leśna uwidzi, bedzie jesce płoniéj jak z ocem...

— Jedy jako fce! Przecieś ty chłop! Cobyś sie ta bał staréj baby!

— Ja sie jéj nie boje, ino mi niemrawo,ześ mi i ty nierada!

— Cozby ta! Wiés przecie Wojtek, ze jak zaźres, jest do kogo przegadać.

— Ino telo se mnie?

— A cozby? Cyś moze widzioł co wiency?

— Radbyk uźreć...

— Skoryś jest!

— Cy to małom kwile gadam do cie, jaze mi w grzdyce zashło?

— Napijze sie, — wskazała konewkę z wodą — i pockaj kwile, póde zaźreć, cy Gwiazdula zamkniona.

Wyszła na dwór, gdzie noc się robiła ciemna. On ruszył rozpaczliwie ramionami, tupnął ze złością na kota, który smyknął tchórzliwie pod łóżko, kapelusz głębiej nacisnął i zakurzył fajkę. Ruszył ku drzwiom, gdy Jewka wpadła do izby, jakby ją kto gonił i zatulając gwałtownie serdak.

— Zabacyłak sérdok zapiąć... — wyrzuciła strwożonym głosem.

Wojtek zaśmiał się.

— Idze, niewierz! Cyjeś zgłupiała? Dy to śmih!

— Nie śmiéj sie Wojtek! Mało mi to krzesna gadała o tyk co je porwało bez to, co sérdoka nie zapieny, kie wiater dul...? Na polu cosi niedobrze, cosi sie takiego dzieje, jakek sła ku stajni, cosi w powietrzu gwizło, cosi zazbyrkło... niewiem coby to...

— Idze — powtórzył Wojtek, ale mniej pewnie, bo i jemu zrobiło się nieswojo gdy z za ściany doleciało gwałtowne, urywane, nieustające ryczenie zawsze spokojnej Gwiazduli. Las szumiał głośno, niezwykle głośno. Słychać było skrzypienie starych smreków, kędyś na szopie gwizło przeraźliwie przez szczelinę w dachu. Wreszcie wszystkie krokwie chałupy zatrzeszczały jak w ogniu, a na dworze gruchło gdzieś drzwiami stajni czy też szopy. Wicher rósł, wzmagał się do niemożliwości w jednym nie chcącym się skończyć podmuchu, rzekłbyś, że się ramionami imał wiązadeł domu, aby je rozepchać i roznieść bez litości, a teraz już i piersią ogromną przypadł i jakby gruba ściana niczem dłań była, przewiał ją nawskróś, zburzył co mniejszym sprzętem, dmuchnął im w twarze i rozdął Jewce kwiecistą kieckę.

Osobliwym lękiem i niemocą ogarnięta przysiadła na wyrku, ścigając przerażonemi oczyma burego kota, który wyskoczywszy na środek izby, jął się po niej rzucać we wściekłych susach.

I nagle usłyszeli oboje najwyraźniej tuż za samemi drzwiami mocne tupnięcie niepodszytych kierpców w deski i brzęk mosiężnych blach, jakby tancerz jakowyś w juhaskim opasku obiema nogami z wysoka na podłogę skoczył. Potem zaległa cisza.

Wojtek, któremu niesamowity strach po krzyżach jeździł, stał wpatrzony w drzwi.

— Coz to? — szepnęła, zwracając nań przelękłe oczy. Ułapił ją za rękę: nizkie dźwirza otwarły się, ktoś wchodził. Wtedy Jewka wrzasnęła przeraźliwie:

— Selki duh Boga hfoli!

Z za proga ozwał się nieznajomy głos:

— Niek bedzie pohfolony Bóg.

Schyliwszy się wpół, wstąpił do izby góral wzrostu niewidzianego, wyższy o głowę od Jewki, a pewnie i od Dziadonia z Brzegów i od Wawrzka Zmarzłego z Maruszyny — bo gdy wyprościł plecy, głowa jego dostała powały. Migotliwe światło od otwartego pieca zaigrało na jego twarzy o garbatym, dużym nosie i czarnych, błyszczących oczach. Głowę miał odkrytą, czarne, kręcone jego włosy sięgały ramion, z których zwisały fałdziste rękawy ciemnej, juhaskiej koszuli. W garści dzierżył rąbanicę, a piersi i brzuch okrywał mu pas staroświecki o ozdobnych, srebrnych blachach.

— Niek będzie pohfolony — powtórzył.

— Na wieki wieków — odrzekli razem i skwapliwie.

Nieznajomy odgadł widno ich trwogę, bo uśmiechnął się uspakajająco a życzliwie.

— Nie wróg ja, ba swój! Bez strahu se mnom dzieci! Lepiéj wy mie znacie, jako ja was. Ja tu do gaździny ze sprawom.

ROZDZIAŁ DRUGI.

JAKO SIĘ BAWIONO U CAPKA I JAKO SIĘ JARZĄBEK STRASZNIE GNIEWAŁ NA STARĄ LEŚNĄ.

Słynne „Pokoje do śniadań“ Alojzego Capka mieściły się tuż obok kościoła, w niskim domku o krytym ganeczku. Miejsce było dobre; wygodne i dla powszednich bywalców i dla pobożnych, niedzielnych pielgrzymów z okolicy. Dobrze jest napić się czasem czegoś. Dobrze jest wynagrodzić się „kieluseckiem cistej“ za trud około dobrze załatwionego interesu, dobrze też zalać robaka, gdy się interes jakowyś nie powiódł. Gdy się człekowi kotwi samemu, dobrze jest napić się. Gdy się spotka znajomków i zechce z nimi pogwarzyć od serca, dobrze jest się napić.

A w niedzielę, po sumie — grzech byłby nie uczcić świętego dnia w szerokiem towarzystwie, nie poczęstować kilku przyjaciół, odmówić kilkunastu zapraszającym przyjaciołom. W niedzielę od południa do wieczora „śniadano“ u Capka tłumnie, gwarno i śpiewnie. Obie gościnne izby woniały zawiesiście od nowych, tłustych serdaków, znoju ludzkiego, fajczanego dymu, a nadewszystko gorzały i piwa, toczonego w szklanki, porozlewanego po stołach i podłodze, wydychiwanego przez setki opitych gardzieli.

Sam gospodarz był wciąż i wszędzie obecny. Niewielka, nie-

tęga osoba, o rudawym jeżu i nadgryzionych wąsikach, przyodziana w płócienny, sumiennie uwalany garnitur i roznosząca dziwnie śledziowatą woń. Ujmowała mu pracy grubsza połowa stadła, nie wychodząca nigdy z za szynkwasu, dostojnie napełniająca kieliszki i licząca pieniądze. Po kulistym jej żywocie spływała fioletowa w żółtą krateczkę spodnica, a różowy, luźno wiszący kaftanik okrywał wielkie i zasłużone przedmioty, któremi wykarmiła liczne latorośle mężowskie. Najstarsza z nich, dziewczyna niestety ospowata, obsługiwała gości w obu izbach. Pomagało jej czasem nieco rodzeństwa. Najmłodsze trzymało się fioletowej, żółto kratkowanej spodnicy, miało rok i było dwunastem. Następne niemiało jeszcze lat, ale zato cyfrę porządkową, która wywoływała w rodzicach zrozumiały niepokój.

We wnętrzu lokalu bawiła się młodsza klientela, krzykliwa i śpiewna, poważniejsi siadywali na umajonym cetyną ganeczku, pykali fajki i pili piwo.

Siedział tam też tego popołudnia Szymon Jarząbek, zwany Młynarzem, jako że był właścicielem młyna i zajmował się kiedyś mlewem. Siedział, oparłszy obrośnięty podbródek na dłoni a łokieć na kolanie, nastroszył siwe brwi i szarpał się za zwisający z pod szerokich nozdrzy, pożółkły wąs. Był zawsze zły i zawsze zgryziony — i dziś, choć tu już od paru godzin gościł, zamało to jeszcze było by zapomniał o troskach. Trunek wszakże robił powoli swoje. Gdy z głębi izby doleciała jakaś śpiewanka, stary zaczynał bezwiednie wtórować. Ale kończył już na kilku słowach, aby znów szarpnąć wściekle wąsy i wrazić fajkę w zęby.

— Śpiwajom, śpiwajom! — rzucił ze złością — Nie tak ja drzewiéj śpiwywał — haj — kie mi się grzdyka nie ściskała od puscania głosu... Tfu! Bestyja...

Spluwał i pił, nie słysząc już nic, prócz okropnego chrobotania robaka, zjadającego mu nieszczęśliwą, uparcie złą mózgownicę.

— ...Haj bywało to, kie człek béł młody! — wyrwał mu się nagle głośno jakiś urywek smutnych rozmyślań. Posłyszał to Jędrek Kaścyn ze Zakopanego, siedzący tuż, i nachylił się doń przerywając sobie głośny rozgawor z resztą towarzystwa, rozgawor, w którym wiódł rej, choć miał głowę z kretesem zamroczoną.

— Coz tak dyhacie Symek? Hę? — pytał, usiłując próżno skupić nieprzytomny wzrok na twarzy Jarząbkowej — Cy sie wam co nie stało?

— Idze, idź!

— No dy prawda... Bywało lepiéj psiamać... kie człek béł młody...

— Kie béł młody, no!

— Ba haj! — czknął Jędrek — Ba haj! Napijcie sie se mnom!

Pili. Jędrek otoczył ramieniem szyję starego i, nie mogąc znaleźć jego ucha, szeptał mu do kamizoli:

— Przeboccie Jarząbek, przeboccie, bok troche pijany...

— E, ta nic!

— Ba haj! Coby zaś miało być? — zaśmiał się głośno — Coby zaś? No nié?

— Juźci haj.

— No to dobrze. Napijcie sie se mnom.

Ganek powoli się opróżniał. Jedni trzeźwi i znudzeni, odchodzili całkiem, inni szli do wnętrza, chcąc się na odmianę trochę hałaśliwiej pobawić. Wreszcie, prócz Szymka i Jędrka, został tylko jeden. Spał w kącie jak zabity.

— Icie go, ten je pijany milionsko! — radował się Jędrek pośród gwałtownej czkawki — Jaki pijany beskurdyja! No nié?

Jarząbek kiwał tylko głową, sam już mocno niepewny. Więc Jędruś trzasnął z całej siły pięścią w ławkę i wrzasnął:

— No nié, psiakrew!?

— Ba jako.

— I ja trohe pijany... trohek ta pijany... — zwierzał się znów Jędrek poufnie Jarząbkowej kamizelce — Przeboccie Symonie, kumotrze mój... Drzewiéj lepiéj bywało, padocie... Haj, lepiéj to ta béło, alek pijany... uuu, pijanyk bestyja... Przeboccie.

I objąwszy Jarząbka oburącz, cmokał go czule w obrośnięty podbródek.

— Coby zaś! Trochę popić nie grzych. Drzewiéj człek pił i pił i pił, i nic mu. A teraz: trzi piwa abo śtyry, i juześ tam! Djasi nadali to piwsko terakse! — wściekał się Jarząbek, straciwszy już rachubę swoich szklanek.

— Świńskie piwo, świńskie! Co juz, to juz, ale i ja wam powiem, jak na świentéj spowiedzi, prawde: piwo je świńskie... — przyświadczał z przekonaniem Jędrek i byłby się dalej spowiadał, gdyby nie czkawka. Zatoczył się ku słupowi, podpierającemu dach nad ganeczkiem i spojrzał ku drodze. Przed domem stała stara baba złamana wpół, zatulona z głową w grubą, białą płachtę obramioną gadzikiem, staroświecki, odświętny strój góralek. Z pod tej płachty wyzierała twarz mała, pomarszczona niczem zleżałe jabłko, o oczach jak świdry, dzióbowatym nosie i zapadłych, bezzębnych ustach. Stała wsparta na sękatym kosturze i wpatrywała się złośliwie w obu kompanów.

— Witajcie Le... Leśna! Kaz tak idziecie? — zagabnął Jędrek.

— E drogom, — odskrzeknęła.

— No to dobrze. Iciez, icie...

— Siąńdze Jędrek! — warknął Jarząbek — Zdaleka od starej wiedźmy!

Starucha dosłyszała i zaseplenila złośliwie:

— Nie radziście mi, nie radzi, Symonie! A bez co? Djasi was ta wiedzom! Dyć-jek od wsiaków prec zawse, ino na telo tu zachodze, coby sie Panu Bogu pokłonić. Jakoz ja wam moge kie w droge liźć?

— Słuchojcie Leśna, co wam rzeke, wy mi tu nie gadojcie nic o waséj cnocie! Ja sie ta nie boje, bestyja, ani was, ani nijakich mocy, Pana Boga ino i Panjezusa. O reste nie dbom a krziwdy se zrobić nie dam, pirsa mi z brzyzku wereda w droge nie wlizie. Źle mi nie jest, chojta rozmaicie bywało i bywa. Nic wam do tego, boście bestyja człek, djasi was wiedzom skąd!

— Hej raty, raty, piéknie téz gwarzicie Młynarzu!

Jarząbek poczerwieniał strasznie, — wstrzymując się od skoku z pięściami do baby, ze ściśniętej wściekłością grdyki chrypiał:

— Nie młynarz ja, wicie o tém, boście nieprec odemnie przi potoku! A fcecie mi dojechać złém słowem, powiem i ja wam, bestyja, cosi! A powiem wam skrony Wojtka: zawoniała temu gówniarzowi wasa bestyjska chałupa bez to, ze tam trzimacie bestyja, niepilom bestyja dziwke, coście jom djasek wié skąd wzieni! Jakoz wam powiem Leśna: patrzojcie, coby sie wase grzychowanie nie uprzikrzyło Panu Bogu bestyja, a i mnie! Tfu!

Splunął i warknął na Jędrka, co wsparty o słup kiwał się i czkał słabym głosem: ba haj, ba haj...

— Chybaj Jędrek do izby!

Ale Leśna teraz dopiero rozpuściła rzetelnie skrzekliwy jęzor.

— A trzimciez wy se tego wasego Wojtusiecka chojby i na powrózku, jak sie wam widzi, ze ja oń stoje! Jewki mu sie zafciało! Ale? Icie gnojka, coby fcioł w ornacie chadzać! Nie tacy nam dziwni, jako te Jarząbki podskubane! Patrzojcie! Jarząbki, hrubi gazdowie! Tfy! Niedorodki babskie! Pół-nicego!

Szymek hipnął z ławy ku wyjściu. Był strasznie zły... ale wcale nie straszny. Leśna zmierzyła go wzrokiem od starczej głowy po końce krótkich nóżek, — i gniew jej rozprysnął się w rechotliwym śmiechu.

— Kiesunkowy hłop! — rzekła wzgardliwie — Was to musiała mać wasa tańcujęcy zgubić!

Machnęła ręką i odeszła szybkim krokiem.

Jarząbek dusił się; oczy wylazły mu na wierzch, wbijał pazdury w dłoń, przestępował wściekle z nogi na nogę, ale ściśnięta krtań próżno usiłowała dobyć głosu.

— Trzistaś ty djabłów zjadła! — myślał — jakozbyś ty nie béła wiedźma, kie ci telo lat nogów nie poskręcało... Idzie ta kostucha wartko, kieby dziwka!

Uspokoił go trochę Zakopiański Jędrek zwięzłą konkluzją: No. Teraz podźmy do wnuka! Napijcie sie se mnom. No nié?

Popuściła go tedy straszna do Leśnej złość, zwłaszcza że mu się oto nasunął przed oczy inny powód do wzburzenia. Po drugiej stronie drogi stanął przy płocie obdartus, karzeł o dużej głowie, na której sterczały rzadkie kępki płowych włosów. Pod ramieniem wisiała mu sakwa dziadowska, z pod zgrzebnych, płóciennych portek wyzierały bose, czerwono-szare stopy, drepcące powoli w miejscu. Sietniaka tego znała szeroko okolica, po której wędrował od czasu już chyba bardzo dawnego. Stary Jarząbek go jeszcze z młodych swych lat

pamiętał. Spojrzał teraz na szeroką, rozwartą gębę ze zdumieniem, wzdrygnął się i zaklął splunąwszy:

— Cy cie djasi?! I ten téz tu, nieumierec! Tfu, wereda brzyćka! Podźmy!

Weszli i zatonęli w ciżbie. A ciżba była iście setna, że i niełatwo przepchać się przez nią. Jeden pan Capek zawsze sobie odpowiednie przesmyki znajdował i wił się nimi, aby w życzonem miejscu zapachnieć śledziowato swoją obecnością; tu podał piwo, tam ratował od zguby wypróżnione szkło, ówdzie urządzał wywiad co do stanu nasycenia jakiejś dłużej już bawiącej osoby lub grupy. Capek regulował nastrój po mistrzowsku. Nie dopuszczał nigdy zbyt krewkich natur do nadmiernego wyładowywania energii, amatorom bójek w sam czas ograniczał podaż, w sam czas załatwiał rachuneczek ze słabemi głowami. Owieczki swoje znał lepiej niż sam proboszcz. Przegadywał po trzy słowa to z tym, to z owym, tu załagodził wstającą waśń, tam się pośmiał z rozbawioną czeredą, tam znów z jakimś desperatem pobiadał. Wśród tego wszystkiego pokrzykiwał co chwila na wiercących się jak w ukropie potomków: — Fuśka, Karpuś, Medard! — Częstogęsto zwracał uwagę na żwawsze poruszenia żony, suwającej się za szynkwasem i perswadował cicho:

— Honorciu, uważaj duszo, bój się Boga...!

»Štydydy štyjdydy — štadada štajdada!
Dyćse ino dydy — štydydy dajdada!«

Po dwóch, po trzech, w małych grupkach, do których się też czasem i babina jakaś przyplątała, darły się chłopy, patrząc sobie wzajem w oczy łzawe od wódki i od ściśnięcia grdyki piejącym głosem. Ci, co nie mieli z kim się radować, pili milcząco przy szynkwasie, opierali łokcie na ladzie, kiwali się i wzdrygali od czkawki.

Jarząbek z Jędrkiem kropnęli sobie po „cistej“, a potem jęli się piwem trącać ze znajomymi, przyczem Jędrek jął prawić dziwy o puhaczu, rzadkości mało komu osobiście znanej.

— E to béł wielgi ptok, takiego ptoka nie nońdzies dziś. Wygineno to het, a skoda, bo to béł fajny ptok, psiakrew... Napijcie sie se mnom, krzeojce, cy jak wom ta! Ptok béł fajny, jak béło iść kie w nocy, to ino bucoł tak: puiii, puiii!, a pote zaś: a buuu, a buuu!, a pote selenijako doklinoł, jaze strah broł! Ale dziś to juz nima wej takiego ptoka... Dziękujem piéknie, nie beem juz pił, bok trohe pijany... Ptok béł wielgi jako oreł abo i więksy... Trohek pijany, psiakrew, no nié...

— Haj! — westchnął obok Maciek Kluś — Ptok był wielgi, wielgi!

— No, wielgi jak baran...

— Napijcie sie se mnom! — proponował Jędrek Kaścyn Maćkowi Klusiowi. — Nie grzych wypić ze dwa, ze trzi piwa. Puhoca zabić nie béło śpas! To wej béła wereda wielga, jako ciele, psiakrew.

— Abo i więksa... — mruknął zadumany Maciek Kluś.

— Abo i więksa.

— Większy był jeszcze? — pytała z przejęciem pani Capkowa.

— Honorciu, uważaj, bójże się Boga... — szeptał pan Alojzy.

W ciemnym kącie izby mamrotał i wzdychał ponuro jakiś pesymista:

— Ej, nima sprawiedliwości na świecie, nima, ej nima!

Grupka urlopników ryczała z drugiej izby:

»Ja se masirujem ku Soncu, ku Pradze,
Moja ty dziwcyno, nie płac-ze, nie płac-ze!«

Jędrek powtórował im zdaleka, a potem stuknął kufelkiem w kufelek Maćkowy.

— Napijmy się swok! Piwo jest dobre! — oświadczył ze znawstwem.

A potem znów ktoś zagadał:

— Widziołek i ja puhoca, lecioł cihućko, ino pote trzasło w cetynie kany siod! Usy to miał wej takie, jako kuń, ocyska świcące i wąsy wielgie strośnie, takie jako leśnicy Karol.

— Abo i nieboscyk Tyrała z Kościelisk... — dodał Kluś.

— Abo i nieboscyk Tyrała. E tén miał wej wąsy!

— E, tén mioł fajne, no nié? — powtórzył Jędrek i zamyślił się głęboko.

— Nima, nima sprawiedliwości na świecie, nié... Chyba ten Bóg! — rzężało po raz setny z kąta.

I tak sobie gadali, i tak sobie przygwarzali, to o tem, to o owem, o wszystkiem i o niczem, jak się to gwarzy w towarzystwie przy niedzieli. Niejednemu tam też mrukowi język się rozwiązywał, iże jął najosobistsze sprawy przed obcymi wywodzić, żale i boleści, niejeden też, najzażartszy w gębie milknął w końcu i szukał sobie możliwie zacisznego kąta. Kiedy w kompanii Jarząbkowej puhacz zdążył już uróść do wielkości konia, a tymczasem od pola szara godzina wpełzała do zadymionych izb, pomyślał wreszcie Jarząbek o tem, że ten szmat drogi do domu lepiej za widna odrobić niż po ćmie. Nie żeby był pijany, ale zawsze się ta troszkę w oczach dwoi i troi po tem piwie wódką gęsto zakrapianem! Wylazł tedy na dwór, mamrocząc pod nosem jakąś śpiewankę.

Po drugiej stronie stał wciąż jeszcze mały sietniak.

— Cy wrosła wereda w ziem? — pomyślał Jarząbek, ale jeszcze go więcej zadziwiły osobliwe ruchy, które tamten wyprawiał rękoma.

— Coz to robis brzydo? Cy fces furknąć jako ptok?!

Niemrawiec nie dosłyszał. Stał tyłem do gospody, pozierał

kędyś ku dalekim reglom i machał rękoma, wydając przytem ciche okrzyki. Jarząbek ruszył ramionami, zakurzył fajkę i puścił się niepewnym kroczkiem.

Doszedł do rozstajnych dróg, minął most na potoku i skierował się ścieżką, wiodącą wzdłuż wody ku krańcowi wsi, gdzie stał jego dom.

— Coz takie niebo ćerwone, cy sie zaś wiater puści? Płony rok ten. Drzewiéj lepse bywały.

Zamyślił się.

— E nié, bywało i gorzéj.

Stanęły mu w zamglonych oczach wspomnienia dawnych lat. Miał młyn na potoku, mlewo dla szerokiej okolicy, dobrze mu się wiodło aż do czasu, kiedy raz, ni stąd ni zowąd, w najpiękniejsze lato naremnica przyszła okropna, wezbrały wody, wylał potok i zepsował mu całe gospodarstwo. Potem jęły klęski walić, jedna za drugą, bieda uwzięła się nań. Robił co mógł, zastawiał tamy, poprawiał kamienny przewał. Co się to namozolił, co się nawydatkował! Każdą robotę, każdą świeżo założoną deskę czy kamień, bezlitośnie wyrwało, zniosło z wodą, zatraciło. Młyn nie nastarczał już z mlewem, sąsiedzi — nawet najbliźsi — wędrowali z ziarnem do gudłaja, poniżej wsi. Dziś wnuki gudłajowe tryndajem się wożą, a u niego ani i gnojem końskim nie śmierdzi.

Leśna! Jako się to zawsze radowała jego troskom! Jak to przystawała nad jarem, gdzie on w pocie czoła wanty układał i rechotała z góry ku niemu: — Hej, Młynarzu, przyniesłak wam tu kwatyrke jarcu, kiebyście mi jom téz zmęli! — Albo znowu inaczej: — Hej, patrzojcie, jako se to Młynarz skale z potoku wybiéra! Bedzie je mełł na zarnak i piók moskole z piasku! — Leśna! ona to była powodem jego wszystkich nieszczęść. Dałby sobie łeb ukręcić za to, że to była wiedźma, tasama, o któ-

rej mówił mu jego nieboszczyk ojciec pięćdziesiąt lat temu. Pamięta jak dziś, choć miał wówczas lat niewięcej nad dziesięć: nieboszczyków ojca i brata starszego Jochima przynieśli do domu z kamieniołomu, gdzie łupano materjał na budowę nowego kościoła. Zasypało ich obu. Brat Jochim był już trup. Ojciec żył jeszcze; leżał na wyrku, krwawe mięso z błotem, oślepiony, niepodobny człekowi. Izba pełna była wycia matki i inszych bab. On — chłopczysko głupie — stał przy umierającym i patrzał zdziwiony: ojciec to, czy nie ojciec? Ojciec był, poznał go po portkach, co miały nową łatę na kolanie. Potem zobaczył, jak się poruszyło to, co kiedyś było ojcowską gębą. Podszedł blisko, bo baby zajęte wyciem nie widziały nic. Usłyszał coś jakby swoje imie. — Fcecie cego? — zapytał. Poznał, że krwawe mięso znów usiłowało wymówić: Symek. Powtórzył głośniej pytanie, a potem wrzasnął co sił do ojcowskiego ucha, aże baby zaskoczone przestały wyć: — Ociec! Cego fcecie?

Pamięta jeszcze, jak mu było dziwno mówić do tego: Ojciec...

Pośród zupełnej ciszy usłyszał on sam jeden tylko, jak okropna, napuchnięta gęba wyseplenila z trudem: — Symek... Pilnuj sie staréj wiedźmy! — Potem zadzwonił dzwonek i wlazł proboszcz namaścić obu nieboszczyków.

Umierający zawsze prawdę mówi. Pocóżby miał łgać, gdy już przed Panem Bogiem stoi?

Szymek wierzył, i nienawidził wszystkich starych bab. Wierzył, że jakaś stara baba uśmierciła mu ojca i brata, a nie był pewny, czy też i nie drugiego brata, co jeszcze przedtem zginął, mówili: od luptowskiej kuli, i siostry co zmarła, urodziwszy nieżywy płód... Dopiero później, gdy dorastał, skupił całą nienawiść niewiedzieć czemu na starej Leśnej, co usadowiła się w chałupie pod reglami, przybywszy niewiada skąd. Różne krążyły o niej wieści, ale ktoby tam prawdy doszedł! Z żyjących

tutaj nieznał jej nikt, a tych co ją znali tam skąd przyszła, dawno już pewnie święta ziem kryje; bo to pewne, że na skulonych barkach dźwiga więcej jak dziesięć krzyżyków.

Podejrzenie Jarząbka utwierdziło się gruntownie, gdy poczęły spadać nań klęski, a zawsze skądeś wtedy przyplątała się Leśna z błyszczącemi od uciechy oczyma.

— Haj, zeby to raz! Dy sie woda znikąd brała, poeta zaś ginena w ziemi... Jaz zepsowała doznaku, koło zharatała, sytko djasi wzieni! Cierty jakiesi nadały takom robote...

I złość go nagła ogarnęła znów na starą Leśną.

— Cy ku niéj śmierzć nie zańdzie nigdy? Jakoz by to nie béła płanietnica a wiedźma? Dy je kwarda jako skała, co jéj się i cas nie chyci.

Kiedy tak rozmyślał i rozpamiętywał idąc ku domowi, doleciał go zdaleka szum od lasu, a po chwili poczuł duszny powiew na twarzy.

— Halny się zwiastuje.

Przyśpieszył kroku. Niedaleko już krańca wsi zabielała przed nim na skręcie drogi złamana wpół postać starej Leśnej, wracającej do domu. Aże go poderwało aby skoczyć i zadławić babę na śmierć. Nie pierwszy go to raz tak poderwało. Ale cóż? Bał się... Bał się niesamowitych mocy, i żółć go zalała od téj bezsilności.

— Ckojze jędzo, obacys ty kiesunkowego hłopa! — zarzęził, nie zdając sobie zresztą wcale sprawy z tego, jak to on jej go pokaże. Żeby tak Wojtek zechciał go wyręczyć! Ale ten nicpoń kpi sobie zeń, a baby nie tknie, skroś tej dziewuchy zatraconej, do której go jak psa do suki ciągnie! Prawda, dziewka jest na schwał, urodę ma chłopa i silną garść, za parobka jest przecie u tej staruchy. Ale właśnie dlatego, czart wie, może ją jakie dziwożony urodziły i oddały w opiekę jędzy? One to

tak rade rabiają. Któż zaś słyszał kiedy, skąd przed laty piętnastu Leśna sprowadziła oną małą sierotkę?

Jarząbek machnął ręką i skręcił w bok do swego obejścia. Zaledwie wszedł do izby, na polu zerwał się nagły wicher.

— Idze, płanietnico, idź, a ozcapirzoj sérdok, moze cie ta na wieki poniesie kany! E ftoz ta wié? Takiéj to sie i wiater nie tknie, bestyja!

Rozejrzał się po chałupie i warknął do córki Janieli, co gazdowała u niego, jako że był wdowcem od wielu lat:

— Wojtka nima?

— Nié.

— Kanyz je?

— Nie wiem.

— Bestyja...

Stary usiadł na przypiecku i siedział chwilę milcząc, ale zdziwiła go cisza panująca na dworze.

— Przecie duć zaceno... Coz tak długo ciho?

— A coz wy sie mie pytocie? Pytojcie się halnego wiatru! — zaględziła córka znudzonym głosem. Niewiedzieć czy poto właśnie wylazł na ciemne pole. Noc była cicha, potok szemrał wyraźnie i wyły gdzieś psy we wsi.

— Cud, co tak zawiuchało raz, i dość...

Przeszedł parę kroków ku miejscu kędy stał w mroku stary młyn, szkielet o kościach prześwieconych gwiazdami. Wielkie jego koło zeschło się i rozleciało, na wszystkiem aksamicił się gruby mech i kiwały wysokie chwaścidła. Z drewnianego dopływu oddawna już śladu nie było.

Jarząbek stanął i dumał.

— Stois ty tu trupie, nic nie robięcy, sam niewiés poco i cemu... Trza cie bedzie przecie raz juz ozebrać, młynie.

ROZDZIAŁ TRZECI.

KRÓTKI, ALE BARDZO DUŻO MÓWIĄCY.

Jarząbkowy dom był ostatnim, który stał przy drodze, wiodącej pod Czarny Regiel. Dalej, poza wieś, wybiegały uprawione zagony, łąki o gładko wygolonej trawie i pastwiska rozścielone szeroko, aż het pod las. Pośród tych pól wyżłobił sobie górski potok kręty i urwisty jar a nad jarem wiła się droga.

Leśna szła pustem polem stukając laską o kamienie. Gdyby Młynarz mógł uwidzieć teraz z blizka nienawistną twarz, nie nalazłby w niej wcale lęku przed nadbiegającą od gór zapowiedzią groźnego czasu. Oczy jej błyszczały w ciemności dziką radością a bezzębne usta mamlały coś niewyraźnie. Kiedy zahuczał gwałtowny powiew wichru, stara stanęła nagle, wzniosła kościste ręce i wpiła wzrok w czarne, bezmiesięczne niebo. Biała płachta zsunęła się z niej i padła na drogę, a rzadkie włosy rozwiał wiatr...

Hejże, nie urągaż to stara Leśna groźnej mocy halnego? Nie nasłuchałaż się to Jewka od niej, mało sto razy: — Ftora sie na polu nie dopnie kie halny duje, a bee mioł za co chycić, porwie i telo jom uwidzis!

Oto teraz drapieżne palce dziwnej baby poczynają się dobierać do pętli i guzów nędznego serdaka, rozpinać a targać



a drzeć; potem rozerwały zapięcie koszuli i wydobyły na wierzch wyschnięte dwa worki, co były ongiś piersiami.

Wiatr huczy jeszcze daleko w górach, wzmaga się, zbliża, a przed nim leci zwiastun jego: podmuch szumiący wykłoszonym owsem...

Leśna dzierży obiema rękami poły serdaka, rozwiera koszulę, pozwalając wiatrowi dąć w nagie ciało za pazuchę, przenikać ją całą do dreszczu.

— Idzie! Idzie! — szepce namiętnie, wśród rozkosznych dygotów. Złamane jej plecy wyprościły się, głowa wzniosła na niepośledniej miary tułowiu. Kiecki podnosi jej wiatr, ale niemasz wstydu tam, gdzie ludzi niemasz. Chude nogi jakby wrosły w ziem.

— Pojdze halny, podź! Telo roków, tele casy ja cekała na cie!

Otwartemi usty pije duszny wiew, upaja się nim.

— Chybaj! Chybaj! Mas mie tu!

Wykrzywiła szpetną gębę, usiłując jej nadać zalotny wyraz; ale patrzy na nią jeno czarna noc na pustem polu.

— Chybaj ku mnie Wietrze! To ja, tasama co wte, tasama co wte, sto roków od dziś!

Daleki las szumi głośniej, ale wiedno nie tak jak chce Leśna, bo w głosie jej zabrzmiała skarga.

— Lutość miej Halny! Tele casy cekom, ziem gorze pod nogami, podeswy pali! Chybaj i bier mie, kany młodość moja, kany ludzi nima, a ino skały a chmury, a wirchy a wichry! Halny! Halny, mój oblubieńce, mój siumny!

Urwała skomliwem łkaniem, bo nagle szum cichnąć począł, cichnął, aż zmilkł. Jeno jeszcze po polu fyrkał podmuch, figlował, urągał... Czekała długo, lecz próżno, świat zapadł w spokój niezmącony.

Opadły ręce Leśnej, głowa wkurczyła się w zgarbione plecy, głos zawiądł.

— Wiedziała ja ze tak bedzie... Kieloz to razy béło tak-samo! Głupia ja, głupia! Wse mi sie widzi, ze to ten cas, kieś mie wzion... Hej raty, aleś mnom wte obyrtał! A teraz, po telu rokach, ftoryz tǫ raz słysem cie i cujem, ino uwidzieć nimoge...

Zebrała z westchnieniem płachtę i kij i wolnym krokiem ruszyła dalej. Minęła już pola i dochodziła do lasu, gdy nagle uderzyła ją osobliwa martwota powietrza.

— Gacki nie latajom...

A gdy wstąpiwszy w las posłyszała lękliwe, zdziwione ćwirkanie ptactwa zawsze śpiącego o tej porze oddawna, wzruszenie okrutne ułapiło ją za grdykę.

— On je tu kańsi nieprec!

Stare nogi jęły się drzeć jak oszalałe po wykrotach leśnych, na przełaj ku chałupie pod Reglem. Rozpaczliwa nadzieja tłukła jej się w sercu obuchem, dodawała sił, wracała resztki dawnej, nadludzkiej mocy. Wreszcie dobiegła do potoku i przebrnęła go, nie zważając na mroźną wodę powyżej kolan.

Ponad nią, nad urwiskiem jaru błyszczało słabo oświetlone okienko chałupy. Wyżej jeszcze, na szczycie spadzistego dachu dostrzegły niesamowite oczy płanetnicy małego, ludzkiej postaci stwora, siedzącego z kolanami pod brodą. Znała go widać Leśna dobrze, bo radosnym głosem zawołała:

— Witaj Duku!

Stwór zaiskrzył ślepiami i zaśmiał się. W samej rzeczy, był to Duk, złośliwy zwiastun Halnego, który na widok Leśnej podniósł się i dmuchnął z całej siły w komin chałupy.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

GOŚĆ W CHACIE.

— Lepiéj mie znacie dzieci, jako ja was...

Wojtek ochłonął pierwszy, słysząc po ludzku przegadane słowa. Trzymając wciąż jeszcze rękę dziewki, czuł jak dygoce od lęku. Więc żeby jej teraz pokazać, że on-to jest chłop, a ona mimo całej swej przewagi w sile, zawsze ino baba, potrząsnął jej ręką i rzekł:

— Nie bój sie, coz sie bois!

Potem wraził fajkę w zęby i pewnym głosem spytał obcego:

— Jako?

— Jakom wam rzek. Znacie mie dobrze.

— A dy moze — szepnęła skwapliwie Jewka, chcąc złagodzić Wojtkową, zbytnią może śmiałość. — Przeboccie, nie bacem ino...

— Ani ja — dodał Wojtek.

Nieznajomy uśmiechnął się.

— Nie cud to. Fto nie widzioł, ten i bacyć nimoze!

Uśmiech gościa mówił wyraźnie, że mimo groźnego oblicza nie był ci to żaden oprych, kradzieńskimi sposobami i cudzą krzywdą żyjący. Ośmielona już Jewka zaciekawiła się do jego dziwnych słów.

— Jakoz to?

— Ano jako? Kogoz sie bacy? Nie tyk co sie ik widziało? Mozes ze ty dziwce bacyć takiego hłopca, coś go nikie nie widziała?

Jewka spojrzała w obrócone na nią oczy i, niewiedzieć czemu, gorąca krew gwałtownie wybiegła z jej serca i zalała twarz. Pierwszy raz w życiu płoniła się przed chłopem. Ale oczu długo oderwać nie mogła.

— Chyba nié — chuchnęła wreszcie niepewnie.

— Wiera nié! — wtrącił Wojtek wzruszywszy ramionami. —Ja was ta nikie nie widział gazdo i znać nimoge.

Osobliwą była gwara tego gościa; niby-to do nich gadał, a tak jakoś po księdzowsku, niby zaś trochę jakby bajdurzył sam do się, pozierając w przestrzeń.

— Bywa na świecie: znajom cie, pokiel cie nie widzieli na swoje ocy. Zaś, uwidzieli — niepoznajom... Hej, zdaleka ja, zdaleka, chocia-jek tuz! Co ta u mnie dalekość? Teraz ja tu, za hwile indziej... Co ta u mnie blizkość? Nikomu-jek blizki, jednemu Bogu...

Wojtek nachylił się ku Jewce i rzucił jej w ucho:

— Zbójnik!

— Moze...

Wzięła z półki siarkowe patyczki i zaświeciła wiszącą na ścianie lampkę. Słaby, żółty płomyk rozjaśnił nieco mroczne wnętrze.

— Siąńciez harnasiu! Pokiel matki nima, ja tu gaździna. Co mom, tém wam rada bede, co w chacie to wase!

— Bóg zapłać. Nie na jadło ja tu prziseł, ino ze sprawom. Pockom na gaździne.

Zrobił sprężysty krok i z dźwiękiem srebrnych blaszek i łańcuszków siadł na nizkim stołeczku przy piecu. Siedział milczący

i patrzał w ogień, gładząc zwisającą ręką kota, co mu się uprzykrzał koło nóg. Wojtek zdecydował się przysiąść w najciemniejszym kącie a Jewka usadowiła się przy nim blizko, bo mimo całego zaufania do gościa, ściskało ją coś nieznośnie w dołku, jakieś lękliwe przeczucie przepychało się przez tchawicę. Wojtek coraz to podłużył okiem ku niej i widział zawsze jej duże oczy z natężeniem wpatrzone w tamtego. A i jemu samemu nieznośnie ciężyła nieludzka moc przemawiająca z tego ogromnego ciała, orlich spojrzeń, groźnego łuku warg. Czuł się strasznie umniejszony i imała go się niemrawość kwaśna, tembardziej, że cała uwaga Jewki odeń odbiegła. Przemówił wreszcie:

— Znacie starom Leśnom?

Nieznajomy odezwał się dopiero po długiej chwili:

— Hej raty! Ino ze to juz hwila...

Wojtek cudował się i zachodził w głowę: — Coz ta baba sturocna ma za niepili znajomków? Pambóg ta jeden wié, co to za człek i co ma ze starom Leśnom...

Jewka zaś siedziała bez ruchu, z dłońmi wsuniętemi pod uda, a zmartwiały jej wzrok mówił o daleko gdzieś odbiegłych myślach.

W ciszy zupełnej mruczał kot i pyrkło czasem w dogasającym żarze.

Myśli Jewki były daleko. Wyleciały we świat i poza chwilę, i tłukły się po dziedzinach szerokich we świecie, po latach łońskich, dniach wczorajszych, przedwczorajszych, szukały czegoś, szukały zawzięcie. Przesuwały się po postaciach ludzi widzianych, Jędrków, Bartków, gazdów rozmaitych, chodzących drogami dólskiemi, pośród pól, po wsiach i domach. To nie tu było...

— Kogoz sie bacy? Nie tyk, co sie ik widziało?

Biegły wyżej, ku halom zielonym, kędy zbercą owcze brzę-

kadła i roznosi się z wiatrem dzikie, juhaskie śpiewanie. To nie tu...

Płynęły stamtąd po granacie falistych regli, po dolinach zawalonych piargiem i maliniakami, ku czarnym krzesanicom, na których żywina żadna prócz orła chyba nie postała, ku podniebnym łukom przełęczy, ku szarym odłogom wiecznych śniegów i po śniegach różowionych słońcem...

— Nimas go tu, ani tu go nimas, ani tam... Nie bacem...

A przecież wie dobrze, że kiedyś, dawno czy niedawno, na jakiemś miejscu a może nie na jednem, a może i nieraz widziała. Uporczywa myśl przebiegła wszystkie kąty któremi chadzały nogi Jewczyne, wszystkie znane widoki. Aż wreszcie zatonęła w owych dziwnych, nie do wiary dziwnych światach, o których słyszała jeno z ust starej piastunki...

Tam też to musiało być. Niewidziała a pomni, niewidziała go a przecież go teraz we wspomnieniu onych cudów widzi...

. . . .

Nagle, słabnący już żar w piecu wzmógł się na chwilę, w kominie gwizdnęło przeraźliwie, trysnęły iskry na izbę. Nieznajomy zwrócił spokojnie głowę ku wejściu i powiedział:

— Ftosi tu gna.

W tejże chwili, w otwartych z trzaskiem drzwiach stanęła Leśna. Wyprostowana, dysząca, przyrosła do proga.

Gość podniósł się, poprawił szerokiego pasa i rzekł:

— Witojcie.

Wtedy Leśna runęła na izbę i objąwszy nogi nieznajomego, pochyliła głowę nizko ku jego stopom, w kierpcach związanych staroświeckim sposobem długim rzemieniem po wierzchu nogawic. Zduszony szloch rzucił jej starem ciałem niby drgawkami

wielkiej choroby. On patrzał na nią poważnie i rzekł głosem cichym, pełnym dobroci:

— Wstońciez matka!

Schylił się i kładąc ręce na jej ramionach, powtórzył:

— Wstońciez matka, wstońcie, rzeke wam...

Ze srogiem zdumieniem patrzyli na to młodzi. Jewka szczypała Wojtka w rękę, Wojtek nie czując tego nawet, siedział skamieniały i trzeszczył oczy.

Stara uniosła się na klęczki, lecz trwała wciąż w nizkim pokłonie. Potem powoli wzniosła oczy a za oczyma ręce. Ze zdławionej krtani wybiegły dwa ciche słowa:

— Halny — Halny...

Ta baba zła i niczyjej nie uznająca nad sobą przewagi ni woli, oddawała obcemu przybyszowi cześć, jaką się jeno przed świętym obrazem Panu Bogu oddaje. Wojtek i Jewka nie rozumiejąc sami co robią, wstali z ławy, on ściągnął kłobuk i rozdziawił gębę, ona złożyła drżące dłonie jak do pacierza i zawiodła głosem przestraszonego dziecka:

— O Jezu...

Ten okrzyk zbudził Leśną. Dźwignęła się wolno i rzekła z wysiłkiem:

— Witojcie u nas, dawno znajomy!

— Haj, dawno... — powtórzył.

— Dawno...

— Kielez to casy?

Patrzała martwo w ziemię, usiłując przypomnieć. Wreszcie szepnęła:

— Dziewiędziesiąty raz owsy zesły.

— Hej raty, schodzom owsy, źrejom, kłaďom się a wy licycie ino: telo a telo razy, telo roków, telo rys na gębie, telo włosów białych... Oj ludzie, ludzie, zycie wase krótkie, a wy



mówicie: dawno! Cas się wartko tocy, wiéciez wy co to jest: dawno?

Kiwnęła się stara.

— Sendy cas casem, roki rokami...

— Patrzojcie, — rzucił potrząsając czarnymi kędziorami, — patrzojcie, cy tu nońdziecie chojby jednom zime znaconom, coście ik telo zbacyli!

Patrzała długo, a z oczu jej wydzierała się rozpacz bez granic. Głowa opadła na piersi.

— Som ten, som ten co wte... Ja wiém...

— Na sytko przyńdzie cas przeznacony od Boga. Ino ze po mnie on płynie, jak woda po skale: długiéj trza hwili, a iście długiéj, zakiel dziure wywierci.

Ostatni dech skonanej złudy uleciał z jej piersi ciężkiem westchnieniem... Takiegoż to czekała spotkania z wyglądanym dawno gościem? Takich słów? Możeż to być, by jeszcze przed chwilą na dnie jej serca tliła się opaczna, nierozumna nadzieja, że woda w korycie czasu odmieni bieg ku górze, że wróci to, co zostało z młodością jej zagrzebane sto lat temu w niedostępnem górskiem pustkowiu? On stał przed nią i nic już nie mówił, a ona przecież słyszała wyraźnie: — Hej, nie zakwita wiesna po téj zimie, co jej Nowy Rok śmierzciom sie zowie! Hej, nie zakwita, nie zakwita, nié...!

Stał przed nią ten sam, co wtedy, młody, mocarny, piękny. Czegoż spodziewać się mogła ona, kostucha śmieszna, już i przegniłą truchłą zalatująca?

Gorzki smak starości skrzywił jej bezzębne usta:

— Cyście ino poto ześli, ino poto, zeby mi to pedzieć?

— Nié! — odrzekł z naciskiem. — Som sprawy pilne...

Oczy płanetnicy błysnęły. Sprawy! Więc przecież jest mu

jeszcze potrzebna, więc przecież godna znów jego ufności, przecież mu nie obca! Ukojenie spłynęło na jej rozdarte serce.

— Sprawy? Gadajciez!

Jemu wszakże jakaś bolesna myśl spędziła z twarzy pogodę. Zacisnąwszy wargi, milczał. Leśna poglądała po izbie. Wojtek stał, obracając i miętoląc w rękach kłobuk, a Jewka uporczywie wpatrywała się w obcego. Stara szepnęła niemal z pokorą:

— Wojtek... Nie spominaj juz zek ci béła nierada! Dziś juz nima wej we mnie złości, ej nima nié. Pytom cie o jedno; zabiraj Jewke i prowadź do siostry swojéj Janieli. One sie widzom rade i Janielka rada jom przenocuje. Ino ty uwazuj na niom a krziwdy zrobić nie daj, chojby ociec fcieli. Słyszis?

Przejęcie Wojtkowe tem co się tu dziś działo, było tak wielkie, że utonęła w niem niezwykłość prośby. Trochę się tylko ośmielił, kłobuk nasadził, kiwnął głową:

— No, chojby ta i ciert fcioł, ja przi niéj! Ostońcie z Bogem!

Zabrał się pilno do wyjścia. Jewka szła za nim, ale od proga odwróciła się nagle ku obcemu i spytała cicho:

— Rzekliście: tyk sie bacy, co sie ik widziało. Cy ino tyk?

Gdy teraz po wtóry raz spojrzał w nią oczyma jak toń jezior górskich, zrozumiała dziwaczną odpowiedź:

— Som jest ślepce, coby i ćwiorgiem ocu świata nie dopatrzyli.

— Ja nie widziała a bacem... — szepnęła ledwo słyszalnie.

— Moze i to być. Boze was prowadź!

A kiedy młodzi odwrócili się ku progu, on skreślił znak Boga za nimi. Wówczas pod wyciągniętem ramieniem odwinął się fałdzisty rękaw jego smolnej koszuli, — niby czarne, błoniaste skrzydło...

Jewka i Wojtek nie widzieli tego, bo wyszli już za próg, kędy ich pochłonęła ciemna, bezmiesięczna noc.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

JAKO SIĘ WOJTEK DO SIANA ZALECAŁ.

Szli milcząc obok siebie kamienistą dróżką od regla. On dostrzegał jeno bielejącą chustkę na jej głowie, ona rękawy jego koszuli. Nic nie mąciło powietrza. Czarny las szeptał swój nigdy nie milknący pacierz i odzywały się miękkie stąpania kierpców. Pierwszy przemówił Wojtek:

— Widziałaś?

Milczenie.

— Widziałaś, Jewka?

— Mhm...

— Cy nie cud to? Cy nie cud, Jewka?

— Pewnie co cud...

— Ftoz to?

— Niewiés? No dy i ja przecie niewiem...

— Ludzie na świecie, coz ta matka taka loń dziwna?

— Nie słysałeś to ze sie znali drzewiéj?

— No, dyćjek słysoł, dyćjek słysoł... Musi być od tamtéj strony kańsi, bok go nie potkoł nikie w nasyk stronach. Moze ta bandosi kany po Węgrach...

— No, tak musi być pewnie... — potakiwała Jewka ledwie słuchając ględzenia Wojtkowego.

— Zbójnik to on ta nie jest, bobyk przecie béł cosi słysał o takim... Chyba jaka famiélija, moze syn, abo wnęk, abo ta jaki dalsy... He! Juz wiém! Z Hamaryki wróciéł!

— Słuchoj Wojtuś, nie przepytuj ino oń po ludziach, bo to wiés, doś juz fajfrzom o Leśnéj, a jesce by teraz zasłyseli o jakimsi cudoku, no! Narobiło by sie téz bryji z tego po dziedzinie!

— No dy prawda, cozbyk ta mioł gadać o tém... — zgodził się.

Szli dalej milcząc. Minęli już las, wyszli na pola i ujrzeli zdala światła we wsi.

Jewka nie myślała dokąd idzie i poco; myśli jej ostały w chacie pod reglami, oglądały niewidziane zjawiska nie dziwiąc się już i nie trwożąc, a jeno budząc w duszy jakieś wielkie zachwycenie, jakby poznały teraz inne, cudniejsze, radosne życie, o którem może i wiedziały już przedtem, ale którego niemogły nijak nazwać prawdą...

Wojtek zaś ochłonął wartko i wszystko sobie na swój łebski rozum wyłożył, a teraz przemyśliwał nad tem, jakby tu powrócić do wątku, co mu się z wieczora tak niespodzianie urwał. Parę razy próbował przegadać, ale mroziło go milczenie Jewki. Pocieszał się jeszcze, że na swoich śmieciach będzie miał więcej szczęścia; więc też zamilkł i tylko z zaciętością wielką stawiał sprężyste kroki.

Doszli tak do pierwszych zabudowań. Przeleźli przez ogradzający Jarząbkowe domostwo płot, on górą, ona między żerdki, poczem Wojtek przysunął się do błyszczącego okienka.

— Śpiom?

— Ckojze, niek obace.

Wpatrzył się w mrok izby i rozpoznał pod przeciwległą ścianą leżącego na wyrku ojca. Na drugiem leżała Janiela. Wojtek poślinił palec i zaburczał zlekka na szybie. Na ten, znajomy

widać odgłos, czujna dziewucha uniosła się i spojrzała w okno. Wojtek powtórzył znak. W chwilę niedługą Janiela wyślizgnęła się za próg boso i bez chustki na głowie. Zagadnęła cicho:

— Jasiek?

— Haj, Jasiek. Ino ze taki, co mu Wojtek.

— Coz figlujes głupio na sybie?! — parsknęła, myśląc że ją umyślnie zwiódł — Nie mozes to wejś po ludzku do izby? Przecie niezaparte!

— Cihojze, cihoj! Nimoge, bok nie sam.

— Ino z kim?

Jewka podeszła bliżej.

— Jam ci to jest goś niepytany.

— Jewka!

— Juźci ze Jewka! — pochwalił się Wojtek.

— Idze Jewciu, coz ty gadas: niepytany goś? Radak ci okrutnie, ino sie cudujem, bo-jek tyz słysała, ze twoja krzesna w domu.

— No to co? Abo mi to niewola u krzematki? Fciałak zańść, tok i zasła, juz mie ta Wojtuś opiekował po drodze! — zaśmiała się.

Wojtka aże podniosło z wielkiej frajdy; niechże choć Janiela myśli, że mu ta dzika koza uległa! Wiedział, że dla Jewki był to pozór, by nie rzec prawdy, czemuż nie miał i on na tem skorzystać, choćby tyle?

— Co tam beło, to tam i beło, wieś Janiela? Teraz sie o to ozchodzi, coby Jewcia do rania przespać mogła. O izbie nie myśleć, bo stary je waryjok i cierta ma w sobie.

Uradziły więc dziewczęta, że pójdą obie na szopę, gdzie w sianie i ciepło i wygodnie. Wzięły się za ręce i pobiegły ku boisku.

— Dobra noc, Wojtuś! — krzyknęły mu na pożegnanie.

Wojtek został sam; pozierał jeszcze chwilę za niemi w mrok,

potem wyjął fajkę, zakurzył, splunął ze wstrętem i wlazł pocichu do izby. Stanął nad śpiącym ojcem, powiódł wzrokiem po jego, nawet we śnie groźnie sfałdowanem czole i zaciętych wargach, wzruszył pogardliwie ramionami i wziął się do rozbierania. Kapelusz zawiesił na gwoździu wbitym w belkę pod powałą, serdak prasnął na żerdź zarzuconą wszelakim przyodziewkiem, popuścił dwa razy okręconego pasa, siadł, zakasał portki, rozwinął długie rzemienie kierpców, zobuł się i rzuciwszy kierpce pod piec, oparł głowę na rękach.

— Jakby tu psiakrew, jakby tu...? Niemoże to być, żeby on tej dziewki nie dostał! A cóż to ona, inszą ma krew od reszty bab? Niby to nieprzyjemnie by jej było?... Psiakrew, potrzebnież on ją tak znagła obłapił! Trza było dalej powolušku, nie drażniąc jej siły, którą się tak pochwalić lubi! Wielkie rzeczy, siła! On ta też w tem co potrza ma siły dość i niewiada ktoby kogo wprzódzi domordował, żeby ino zechciała się popróbować! Leśna ją zmawiała zawsze przeciw niemu, to pewne, ale może teraz już nie będzie? Sama przecie gadała, że ją odbieżały złości... A ojciec — co tam ojciec! Choćby się i żenić chciał, niechże mu ojciec spróbuje bronić!

Od tych sumowań oderwał go stuk w sieni. Za chwilę wsunęła się cichcem Janiela.

— Coz je?

— Ano nic, ja tu.

— Coz Jewka?

— A cozby? Śpi. Nie fciała cobyk tam ostawała, bo i nima wej poco, a ociec by zaś jojcał bezemnie. Juzek sie i tak bała, cyś go nie zbudził i cy sie zaś nie gryziecie!

— Cozby ta! Stary śpi jak drewno.

Janiela legła na wyrku i patrzała pilnie na brata. Wreszcie zniecierpliwiona jego niemownością, upomniała się:

— Gadajze, coz tam béło z tom opiekom...?

— Zje cozby? Nic nie béło, coby miało być, hę?

— Ej Wojtuś, Wojtuś, kłamać grzéch!

— Ftoz ci pedzioł ze ja kłamie? — burknął, zły, że istotnie nie kłamie.

— Nik nie pedzioł...

— No to nie gadaj.

Wstał nagle i począł się kręcić po izbie, jakby szukając czegoś. Zajrzał do konewki z wodą.

— Wody nima?

— Niewiés to kany woda?

— Dy wiém. Myślałek ze bedzie tu.

— No a nima?

— Jest... jale sie zagrzała...

Skarciła go wzrokiem jak uprzykrzone dziecko.

— Wojtek, co ci trza?

— Dyć gadam ze wody! — pokrzywił jej się z głośnym charkiem i uchyliwszy dźwirzy wylazł z izby. Siostra zaśmiała się i kiwnęła głową z uznaniem: — Wody mu trza! — Potem westchnęła i poczęła się układać do snu.

Spragniony wodopijec podążył ku boisku i przez boczne drzwiczki wsunął się na tok. Namacał kołki powbijane w ścianę i wspiął się po nich ku onemu osobliwie wysoko leżącemu źródłu. Kiedy głowa jego pogrążyła się w dusznym otworze i siano załaskotało w uszy, zawisnął nieruchomo i słuchał. Potem jął nawoływać zcicha:

— Jewka, śpis? — I głośniej: — Śpis, Jewka? — I jeszcze głośniej: — Jewka, Jewuś, jakoz ci tam na tém sianie?

Czekał próżno na odpowiedź, w dusznej głuszy dudniało mocno własne jego wzruszone serce i szumiała krew w uszach.

— Gadajze, śpis, cy ino kpis?

Powtarzał raz po raz, a coraz niecierpliwiej: — Śpis cy kpis? Śpis cy kpis? — aż go się wkońcu złość imała i chciał już wychynąć na szopę, by samemu dojść prawdy. Ale się pomiarkował, że przecie w tej ciemności nieprzeniknionej, w rozległej i głębokiej topieli siana, po próżnicy by brodził. A przytem zważył jeszcze, że nie byłaby nijaka frajda zlecieć tu tędy na twardy tok, łbem w dół. A to się przydarzyć mogło; po ćmie przecie nie widać... gdzie kto kim bechnie o ziem. Spuścił się tedy na dół, machnął ręką i krzyknął do góry:

— E, djasek by sie ta z tobom dogadał! Jak śpis to śpij, a jak nie śpis, to se ino nie myśl, ze ja niewiem ze ino udajes spanie! Ja ta dobrze wiém! Ale do cie gwarzyć, a do tego siana na sopie, to je jedno!

Tak powiedział i wyszedł. Postał jeszcze troszkę za wrotami, a nuż się rozmyśli i odpowie... Ale słyszał tylko szum potoka.

— Psiakrew...

Chciał już wejść do sieni, gdy za płotem zabielało coś nakształt człowieka. Późna była godzina i dziwnem mu się to zdało, więc podszedł ku drodze i jął świdrować oczyma w ciemności. Kiwnęło się za chwilę a Wojtek spytał:

— Dobry wiecór! E ftoz to?

Zaględziło coś niewyraźnie.

— Tyś to Głowacu? — rzekł zdziwiony, poznawszy małego sietniaka. — Zyjes jesce? Coz to cie tak nockom wodzi po drogach, jak kota bez domu?

— Nimom domu, nié — zwierzył się chrapliwie.

— E? Naprawde?

— Nimom nié.

— Bidok z ciebie, pocwaro.

— Haj...

— Pojdze tu, jesta miesce w drewutni, to sie prześpis!

— Nie pytom.

— Nie fces?

— Nie pytom cie o nocnik, wiés? — charczał niemrawiec ze złością.

— Wiem! Coz mi to? Cy jek taki jakoś ty jest nierozumny? — zaśmiał się Wojtek, wylewaiąc rad żółć z powodu Jewki, na to biedactwo.

— Nie pytom cie...

— Ku freirce idzies? He raty, musis ik ta mieć! W kazdej dziedzinie po kopie!

— Ty sam!

— Bajto, ka tam ja! A byłaby tu jedna dla cie, świdrem fajnie patrzi, ma głowicke kieby sieckarnie, na grzybiecie chomonto z miesa, wól piéknie wyrośniony i cosi osiemnaście nosów!

— Ty sam! — parskał dręczony nieszczęśnik, jak wściekły a tchórzliwy kot.

— A i stara Leśna by ci sie nadała za oblubienice! Ta téz je śwarna, he raty! Ino niewiem cybyś se fcioł na niom zackać, bo je jesce małorocna...

— Ty sam!

— No, idze z Bogem, dziadu, a proś mie na druzbe kie sie bees zyniéł!

Wlazł do izby, gdzie już i Janiela spała twardo, pochrapując. Zgasił światło i legł. Po chwili go też sen ogarnął mocny.

. . . .

A nie byłby tak wartko usnął i nie spałby tak beztroskliwie, gdyby się dowiedział, że na tej tam szopie, to go iście samo tylko siano słuchało. Jewki tam już dawno niema. Zwarjowana dziewka gna w tej chwili polami na przełaj z powrotem ku reglom, gna co sił i tchu, byle tylko w czas zdążyć, byle jeszcze

ujrzeć o n e g o! To sobie uradziła jeszcze w drodze do wsi; w tym też celu a nie innym, odprawiła corychlej Janielę, aby w chwilę potem siano, szopę i cały dom Jarząbków ostawić daleko za sobą.

Hej! Ale ci też gna! Jeszcze w życiu tak nie gnała. Serce jej się w piersi trzepie niby dzika wiewiórka po klatce! Czasem już koniecznie przystanąć przyjdzie, a tu niecierpliwość pcha dalej i dalej!

Przystanęła dłużej dopiero u wylotu lasu na polanie. Chwała Bogu. Nie było za późno! O n odejść jeszcze nie mógł, o odejściu j e g o wiedziałaby cała okolica... Jewka poleżała pod drzewem, a potem chyłkiem okrążyła skrajem lasu polanę i zbliżyła się, zostając wciąż pod smrekami, od drugiej strony ku zagrodzie. Nie zapomniała, że przybycie I eśnej poprzedził znak. Bojąc się tedy wychylić z za drzew, legła na mchu i oczy wpiła w ciemność.

Tam, za niedaleką ścianą chałupy, za temi cienkiemi drzwiami działo się coś nieodgadnionego...

Co tam za słowa padały? Co za dziwy stawały się istotnością?

Co to będzie, co...?

Godziny pełzły i widziały ją wciąż leżącą bez ruchu i wpatrzoną w ciemność...

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

HALNY I HALNA.

Kiedy młodzi wyszli za próg, Leśna zawarła za nimi nizkie drzwi i oparłszy się o nie, spojrzała pytająco na gościa. Halny stał skrzyżowawszy ramiona i tonął w zadumie. Czekała cierpliwie, gotowa na każde skinienie, każdy ruch oczu, w które wpatrywała się, usiłując wyczytać tajemnicę. Lecz wzrok jej tracił zwolna natężenie, martwiał, stapiał się w jedno z oczyma duszy, których nie niewoli ciasnota miejsca ni godziny...

Za nieruchomą postacią gościa rozłożyła się nieskończona przestrzeń sinego nieba, zębaty mur skalnych wierchów, białe, piarżyste spady...

Duszność małej izby znikła, piersi Leśnej chłoną z rozkoszą żywy zapach pustaci górskich, a młoda krzepkość rozlewa się po jej ciele...

Oto leży na zielonym skrawku trawy w wąskiej dolinie pośród skał. Leży w słonecznej spiekocie, w pachnącej światłości, nasiąkłej żywicą kosodrzewin i jałowca...

Lekki, chłodny dech od wierchów muska jej twarz...

Czuje dobroć niezmierną wszystkiego, co ją otacza, opiekę i dbałość i troskę... Panią jest, której wszystko stara się wygo-

dzić. Jakimże to nieprzeliczonym narodom, którym ludzka wola za nic stoi, dano jej objawiać swoje zachcenia!

Jednego tylko kazano się wyrzec, jednego zabroniono na zawsze. Kazano wyrzec się tego co tak obce i dalekie temu tu światu, temu szczęściu nie służenia nikomu i niczemu a jeno używania i rozumienia niewysłowionych ludzką mową dziwów. Zabroniono na zawsze tego, co małe i marne, śmiertelne i nieszczęśliwe. Zabroniono na zawsze: ludzi. Cóż jej po ludziach? Pocóżby wracać miała do nich, ona, której tyle dostało się wzamian za nich?

Otwiera oczy i widzi: na szczycie blizkiej skały siedzi On. Poziera ku niej, chwycił się rękoma za kolano i śmieje się z jej zdziwionych oczu... Za chwilę dobiega ją głos nigdy nie zapomniany:

— Hej, dziwce, nie dobrze ci tu?

Radość, słów nie znająca, przepełnia jej duszę. Nie odpowiada, wyciąga tylko ręce do Niego — On wstaje — trącił kierpcem kamień: ruszył się z szelestem piarg. — Wstał i przeciągnął się: pokłoniły się smreki, zaśpiewała limba, zatrzęsły czupryną kosówki. — Idzie ku niej...

. . . .

Westchnęła ciężko stara Leśna. Zbudził się Halny z zadumy, spojrzał i opuściwszy się na ławę, rzekł:

— Bacycie wy matko, jesce co z onyk casów?

Ona czekała na te słowa, nie ważąc się pierwsza zacząć. Przebiegł ją dreszcz wzruszenia i spytała cicho:

— Mogłaz-byk nie bacyć...?

Halny potrząsnął głową.

— Cas leci wartko i wartko sie mija to co ludzkie, wiara, pamięć, zycie...

Przeszła znów długa chwila w milczeniu. Halny chciał snać

wprzódy wypróbować grunt, zanim na nim oprze ową tajemniczą sprawę. Leśna czuła to i goryczą wzbierało jej serce. Nie może ci On jej inaczej sądzić, nie! A ona, nawet żalu doń o to mieć niema prawa... Ach, gdybyż mógł ujrzeć teraz jej duszę, gdybyż się mógł przekonać, że została w tem dawno już zgrzybiałem ciele taką samą, i dla Niego tylko, i tylko dla niego! Gdybyż on wiedzieć mógł, czem był dla niej ten wiek niemal zasłużonej, lecz zbyt strasznej, zbyt nieludzkiej pokuty!

Nieludzkiej? Hej, nie na ludzką miarę sądzono jej przewinę, bo nie na ludzkim świecie!

Choćby znalazły się teraz słowa na jej obronę, choćby go i umiała przekonać o swem poddaniu, swej skrusze, swej miłości, cóż z tego? Cóż Jemu dziś ze staruchy, Jemu, dla którego sto lat ziemskiego jej żywota, było dniem jednym wieczystej młodości?

I znów znika gdzieś mroczna izba, nowy widok roztacza się przed oczyma Leśnej...

Zielony upłaz porosły kępami bujnej kosówki.

Parna cisza.

W rażącym blasku widać nad halą kosiste grzbiety, a dalej łańcuch wierchów, grań o zarysie zamglonym, tak sinym, jak i samo niebo.

Posnęły dziś wszystkie wiatry, nic nie chłodzi okrutnej spieki.

Na upłaz zielony, z pośród kosówek kryjących perć wiodącą z gór, wyszła dziewczyna. Idzie wolno, widoczne, że bez celu, w ręku trzyma kwiatek kozłowca i głaszcze wargami żółte płatki, jak ktoś, kto za wiele ma do myślenia, a nic do roboty... Oczy jej błądzą wokół, rozwarte szeroko, niby zdziwione, niby zaniepokojone tym spokojem powietrza, tą ciszą i żarem, — tak świetną, a tak martwą pogodą dnia...

Stanęła i zatrzymała wzrok na dalekich, niby przez cieniuchną zasłonę widocznych nizinach, przez zasłonę, którą rozpięło słońce na drgającem powietrzu. Jakże dawno nie widziała ich nawet z tak daleka!

Stała długo... aż oczy jej zaszły łzami — niewiadomo — pono z zapatrzenia...

Nagle, poza nią, gdzieś na niewidocznym stoku upłazu rozległo się leniwe zberkanie owczych dzwonków... Raty na świecie, jak ją wtedy poniosło! Wybiegła na grań i spojrzała ku hali: rzekłbyś, na stromej uboczy, pośród kęp trawy, białe kamienie ruszyły się i posuwają: chodzą owce, zbercą brzękadłami, ino nie widać tam nikogo...

— Kanyz ludzie...?

Opętała ją niecierpliwość, bunt przeciw temu, co jej się w tej chwili zdało niewolą. Pierś zaczuła nagle umęczenie od surowości twardego powietrza, chłonionego od lat tylu, i zaciężyło na szyi brzemię bezcennych gościńców.

— Kanyz ludzie...?

Pamięta jak idąc po uboczy, natknęła się wreszcie na to, za czem ją taka tęsknota brała. Pod ciemną, wielką kitą kosówki leżał juhas. Ręce podłożył pod głowę skrytą w cień gałęzi i spał.

Młody był i urodziwy, tak jak i t a m t e n. Tak jak i tamten czarne miał włosy i orli nos, swarną postać i zgrabne nogi w białych portkach, cyfrowanych pięknie w czerwony gadzik i parzenice. Taki był jak tamten, — jeno że s w ó j, człowiek podobny jej, nie król i pan, ale równy, i nie z innego świata, ale swój, swój!

Zapatrzona w leżącego nie widziała, jak z poza skalnych grani wypełzać jęły chmury i kłębiły się zwolna ku słońcu. Zbudziła się w niej chęć swawoli jak u dziecka; klękła na trawie i kosmatym kwiatkiem kozłowca połechtała go po twarzy.

Gdy się zbudził i ujrzał ją, pomyślała że ucieknie, bo skoczył gwałtownie na nogi i od niej. Ale nie, — patrzał wprawdzie nieufnie, ale stał, stał i cudował się: boginka, czy kie licho, takie strojne?

Aby go nie spłoszyć, poczęła mrugać figlarnie, aż wreszcie wybuchnęła śmiechem. To go uspokoiło, nabrał odrazu odwagi i zaśmiał się też. Wnet jednak poważniejąc spytał:

— Skądześ ty dziwce?

— Z hań z tela! — odparła, machnąwszy ręką byle gdzie.

— Skąd?

— Oo raju, coz ci o to?

— Cyjaześ ty, taka piékna?

— Swoja.

— Patrzał na nią z zachwytem, oczy mu się iskrzyły. Więc poczuwszy się przy władzy, legła na brzuchu i oparła brodę na rękach.

— Nie radeś mi?

— Cobyk ta béł nierad...

— Jak cie zwom?

— Jasiek. A ciebie?

— Mnie? Nijako. Cyjześ ty jest?

— Jarząbków. A ty?

— Raty! Dyć-jek pedzioła!

— Gadoj, nie śpasuj. Coś za jedna?

— Halna.

Ruszył ramionami i spojrzał na niebo.

— Jasiek...

— Hę?

— Fajniéj tam na niebie jako tu?

Nie odrzękł nic. Zbliżył się tylko i siadł przy niej pod ko-

sówką. Twarz mu drgała pół-zakłopotanym, pół-bezczelnym śmiechem. Nachylił się nad nią i rzekł dobitnie:

— Ckojze ty... Halna! Nie fces gadać sama, muse ci pomódz!

Chciała się zerwać, mając w tej jednej chwili jakby objawienie całego ogromu przyszłego nieszczęścia. Ale było zapóźno. Juhas objął ją wpół i ścisnął krzepko.

— Cyjaś jest?

— Puś mie! — wrzasła.

— E, cozbyk ta puscoł...

Zaszamotała się beznadziejnie w jego tęgich ramionach.

— No to se trzim! — parsknęła niby z dąsem.

— Trzimiem! Juz mi sie ukotwiło bez tyle miesiency trzimać ino owce za kudły a dójki!

— Aa! — zaniosła się śmiechem. — Aa! nie ckliw mie!

Oczy zaświeciły mu namiętną żądzą. Ścisnął jeszcze silniej i zarzęził przez zęby:

— Cyjaś jest?

— Swoja!!!

— A moja ni? — zadrwił, rozrywając jej zapinkę koszuli.

— Jasiek!!! Puscaj!!! Jasieeek...

Stłumił wargami jej krzyk... Ach, pamięta tę znienawidzoną twarz nad sobą...!

. . . .

Wzdrygnęła się stara Leśna i spojrzała na gościa. Spotkała wpatrzone w nią oczy, rzekłbyś: słucha opowiadania... Poznała, że on wie wszystko, że myśli jej mówią doń, jakby ona sama gwarzyła...

I oto ona, baba stuletnia, gorącym spłonęła rumieńcem, — jakby czas od owej chwili upłyniony liczył się na godziny, — jakby ją paliła świeża hańba... niczem jeszcze nie odpokutowana.

Byłże to jeszcze tensam, nieubłagany sędzia?

Pomni — jak owego dnia niepostrzeżenie cień się rozlał po ziemi od chmur, co się zwaliły na słońce niewiedzieć skąd —

Jak zahuczały góry, jak nadleciał od nich złowrogi wiew, jak zatrzęsły się ze zgrozy czupryny kosówek —

Jak zerwała się i biedz jęła pędem, aby wracać, wracać czemprędzej! Wiedziała, że odkryto jej ucieczkę. Wicher przebudził się i wypędzał gniewnie zadrzemane po kotlinach świsty i szumy i wszelakie górskie moce. Serce jej ściskało się trwogą, bo wiedziała, że czeka ją hańba i potępienie. A przecież trwoga jej nie przeczuła, jak wielka będzie srogość kary...

Pomni, jak obaczyła nagle nieznaną dotąd straszność żywiołów. One, które wczoraj jeszcze pieściły ją pośród siebie, jak ulubione przez wszystkich dziecko, zastąpiły dziś nieubłaganie drogę do swego świata, smagając, podcinając umęczone nogi, waląc z trzaskiem zapory z olbrzymich drzew.

Poznała teraz dopiero grozę dzikich smreczyn, kiedy jej po nich nie wiodła życzliwa troska! Poznała straszne topiele wysokich traw i paproci, kiedy rozstępowała się pod nią ziemia i wciągały ją jamy, wądoły głębokie, pełne próchna i wykrotów, nakryte dziurawym dachem suchych gałęzi, dudłaków i leżaniny, drzew sprzewracanych na kupy przez wiek sędziwy i burze.

Czerniawa pochłonęła słoneczny dopiero co świat. Chmury runęły na ziem i nadziały się na oszalały od wichru las. Ryknął piorun i rozpasała się tucz.

Nikt nie słuchał jej zaklęć i modłów. Łzy schlustywała jej bez litości zimna siekanica, huragan dławił, wpychając szloch z powrotem do gardła. A koło niej sadził strach, zielony i kościsty, hycał na drzewa, łapał za mokre włosy i zazierał w twarz wytrzeszczonemi oczyma o nieruchomej źrenicy.

Ile dni i nocy trwało to piekło, któż wie? Stokroć sroższe

zacząć się miało od owej nocy, kiedy to ostatkiem ludzkich sił dysząc, dowlokła się na ciche już niziny...

Zostały za nią góry i straszna ich groza, i zostało za nią jej życie. Wygnana z niego, wyzuta z młodości, wlec odtąd miała po tem piekle łachman swego ciała, sterany, posiwiały, jakby na znak, że oddaną została z powrotem bezlitosnym rękom czasu. Ogarnęła ją samotność dławiąca, ból, który nosi w sercu dotychczas, po stu latach tułaczki po świecie.

Wówczas to podniosła pięść ku widocznym zdala światłom w osiedlach, i na wszystkie złe, dobre i nijakie moce poprzysięgła zemstę ludziom.

. . . .

Oto siedzi przed nią łagodny i cichy, a z twarzy patrzy mu smutek... Żałość ścisnęła jej serce, uklękła i biorąc go bez obawy za ręce, spytała głosem troskliwej matki:

— Coz wam, Halny, gadajcie...?

Opuścił głowę na piersi i rzekł:

— Nie zabacyliście wy jesce matko, zeście hań mieli syna?

Oczy starej nabiegły łzami. Westchnęła ciężko.

— Halny, Halny, jakozbyk mogła zabacyć?

— O niego to ja do was przihodze dziś.

— O niego? Halny, kiebyście wiedzieli, jak okrutnie banujem doń! O niego? Wiém, wiém co powicie! Widzieliście Jewkę? Dziwcyna z Luptowa rodem, ociec jéj wielkolud béł, matka zmarła przi porodzie. Chowałak jom prec od ludzi, w lubości lasów i gór, w banowaniu za takim hłopem, jakiego nie uwidzis miendzy ludźmi! Loń ona Halny! Chowałak jom loń, niek jom przydzie brać, wiara w niéj bedzie, Halny, wiara ino loń!

Halny słuchał i patrzał z rozjaśnioną twarzą na mówiącą. Po chwili jednak westchnął i rzekł:

— Béło by to, matko, kieby Bóg podzwolił. Jale nie z namowinami ja tu dziś. Powiem wam krótko: nimas go u mnie! Zawierusyło sie wichrzysko pewnie kańsi z hmurami i, sukaj go w polu! Roki schodzom, jak go nońść nimoge. Roki schodzom, jak go sukajom u nas sytka, i nimas go u nas...

— Jakoz to być moze?

— Ano nic, ino go cosi do wasego światu ściągło. Musi być tu między ludźmi. O to ja do was przichodze dziś. Ja tu po dziedzinach nimoge nic, wasa rzec bedzie sukoć. Poznaciez wy go matko?

— Hej raty, Halny, malućki béł kiek go widziała, a przecie wiém, jaki musi być! Hłop wielgi okrutnie, a podobny wam, a mocarny! Telo roków mineno, śmierzć lutosierna na mojom bide ani zaźreć niefce! I dobrze, dobrze, radabyk jesce zyć drugie telo, cobyk ino wiedziała, ze go uźre kie chojby na chwile. A pote zemrzeć...

Spojrzał Halny wzrokiem pełnym litości. Potem położył rękę na jej siwej głowie i rzekł uroczyście:

— Niek wam sie stanie jako padocie! Selakom ja dziś wine z was sejmujem, Halna, i oddajem was śmierzci...

Gdy Halna powstała z klęczek, w twarzy miała spokój i poważną, cichą radość. Siadła przy nim na ławie, jak siada matka przy ojcu, gdy mają ważne sprawy do uradzania.

I poczęli radzić.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

JAKO JEWKA ZOBACZYŁA — CZEGO NIKT Z LUDZI NIE WIDZIAŁ.

Noc płynęła wolno. Wolno, okiem nieuchwytnie toczył się gwiaździsty przetak...

Letnie noce wszakże, zwłaszcza w czas pogody, nie drożą się zbyt długo z nadchodzącym dniem. Toteż, gdy owieścił go rzeźki przedświt i rozwiał parność nocy, zrzedły rychło grube ciemności. Szary strop chłonąć też już począł co pośledniejsze gwiazdy, nabrzmiewał jasnością, brał się z kolei i coraz łapczywiej do znaczniejszych.

Z czarnej ściany lasu wymraczają się już lękliwie osobne drzewa i podleśna chałupa nabiera zwolna odcieni.

Dnieje.

Oczy Jewcyne rozróżniły nagle w tej siności niezwyczajny rysunek wysokiego dachu; myślałbyś zrazu, że zdążył tam przez noc wyróść drugi komin. Po długiej dopiero chwili ujawniły się kształty tej szczególnej narośli. Było to coś niby człek, pokroju dziecka małorocznego, siedzący okrakiem na grzebieniu gontów i z wysokim pazdurem w objęciach... Ludzka wszakże stopa nie utrzymałaby się żadną miarą na ślizgich gontach, tak

jak owo, gdy podniósłszy się nagle na swych krótkich nóżkach, poczęło zbiegać w dół i, zawisnąwszy rękoma na ocapie, zeskoczyło lekko w podwórko.

Na płocie przed pajtą siedziały rzędem kury. U końca rzędu i nieco odeń odsunięty, mały kogucik kiwał się już, rozglądał i wiercił po żerdzi. Wreszcie wygiął szyję i miał właśnie zaśpiewać, kiedy nagle zdławiło go coś, bo niewydawszy głosu spadł z płotu. Owo z dachu skoczyło za nim i zaczęła się gonitwa po łące. Kurek zmykał zrazu na pieszki, z cichem, trwożnie przyśpieszonem gdakaniem, potem jął trzepać skrzydłami, podrygiwać, wzbijać się w górę. A tamto za nim: naciągało krótkich nóg, furkało wionąc w powietrzu szerokimi rękawami, dopadło go wreszcie za grdykę i zawróciło spiesznie ku chałupie. Doleciało trzykrotne stuknięcie. Serce Jewki zawaliło setnie... Jeszcze chwila, otwarły się drzwi i wyszedł Nieznajomy.

Wyprościł olbrzymie ciało, jakby zbolałe od długiego przygięcia w nizkiej izbie, odgarnął włosy i spojrzał na niebo, na którem lśniły jeszcze gwiazdy. Mały stał tymczasem pokornie, trzymając wciąż za szyję koguta, osłabłego już od wysiłków.

Nieznajomy poprawił szerokiego pasa, dał znak małemu i z zamachem skoczył z przyłapu. Ale nie opadł. Nadludzką siłą unoszony wzbił się w górę i zniknął nad reglem.

Poszedł szum po drzewach i zmilkł.

Wówczas Duk puścił koguta i pobiegł w las. Nie widziała już Jewka, jak odbił się silnie piętą od ziemi i skoczył na drzewo. Usłyszała tylko, jak zaszeleściały głośno bukowe liście i ćwierkać poczęło pobudzone ptactwo. Ziąb nagły rozlał się w powietrzu i przejął dreszczem leżącą.

Oswobodzony kur popróbował grdyki i zapiał.

Jewka wstała z ziemi, mokra od rosy, drżąca od chłodu i wzruszenia. Patrzyła długo w górę, jakby spodziewając się

dostrzedz tam jeszcze więcej, coś, co ludzkiemu oku przenigdy za dnia dojrzeć nie dano... Myślom jej powoli wracał spokój i serce rękoma ciśnione ucichało. Ze zwieszoną głową postąpiła ku zagrodzie; ale gdy położyła ręce na płocie, dotknięcie to jakby ją oparzyło. Nagłym przejęta lękiem przed niesamowitością tego domu, zawróciła do lasu i ruszyła pędem w dół. Minęła jar i pola, a gdy znalazła się na szopie, opuszczonej wieczorem, pijaną od wrażeń tej nocy niemoc zdjęła i sen przemożny rzucił na siano.

Rozbudzony las dzwonił świegotem ptactwa. Wysoko nad nim płynął Halny, pozierając w dół, kędy pomiędzy czubami smreków, po jasnych koronach buków i jaworów, krzątał się Duk w pustej zabawie: wypłoszył czasem jakiegoś ptaka i gnał za nim uradowany wrzaskiem przerażonej ofiary; nurkował w zielonem morzu, zaglądając w ciemne zakątki pod gałęźmi; tu nadybawszy zmęczonego puszczyka, co się niedawno do snu usadowił, odchylał liście i dmuchał mu w oślepione trzyszcze, tam pokręcił za ogon wiewiórkę, która właśnie wywędrowała z dziury na szczyt drzewa, popatrzeć która godzina. Wszystkie te figle niczem były przy owych, które wypłatywał innymi czasy; zabawa rzetelna zaczynała się dopiero, gdy przyszło brykać po siedzibach ludzkich! On-to świstał wówczas w szpary domów i trzaskał dźwirzami, on dmuchał w dymniki i kominy, zrywał z głów kapelusze i tulał je po ziemi, on roznosił po polach skopione siano.

Od szczytu regla jasność się różowa rozlewała po niebie; kiedy wypłynęli nad grań, słońce złociło już pełnym blaskiem ciemne łańcuchy górskie.

Halny chwycił się w locie kończystej turni, okręcił dookoła wierzchołka i stanął.

Stał długo, zapatrzony ku leżącym w mrocznych jeszcze nizinach osadom ludzkim.

Potem obrócił się do słońca i pochwalił je rannym pacierzem.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

JAKO WOJTEK CHCIAŁ SOBIE SIĄŚĆ NA JARZĄBKOWE OJCOSTWO.

Szymon Jarząbek patrzał z pod przymrużonych powiek na córkę, która wstawszy najwcześniej, przyniosła już w skopcu świeżo udojonego mleka, a teraz kręciła się boskiem po izbie. Stary też nie spał już dawno, jako że starości niewiele snu potrzeba, ale leżał wciąż rozwalony wygodnie na pościeli, a luźne, płone myśli wlokły mu się leniwie za oczyma.

Wiszący zegar wycharkotał godzinę. Jarząbek przeciągnął się i ziewnął.

— Seść godzin?

— Haj.

Poleżał jeszcze chwilę, potem spuścił powoli nogi z wyrka i usiadł.

— Wojtek śpi?

— Pewnie.

Stary ziewnął znów i poglądał po portkach, w które był odziany.

— Cozek to? W nowyk portkach spał?

— W nowyk? To juz przecie nolepiéj sami wiécie.

— Haj, w nowyk-ek spał.

Wyjął fajkę i kapciuch, napchał i zakurzył. Wstał, przystępując piętami nogawki, ściągnął portki, zarzucił je na żerdkę, wziął inne, stare i wciągając mamlał przewlekle przez zęby ściskające piporas:

— Późnok wróciéł bestyja, zasnonek wraz... Wrazek zasnon w nowyk portkach... Haj, w nowyk-ek portkach zasnon... A kiez Wojtek wróciéł?

— Kwile po was.

— Kanyz go zasie djascy wodzili po nocy? Cy sie zaś na one cygańskie drogi pusca?

— Jedy jako fce... — odparła obojętnie, nie przerywając sobie zajęcia.

— Coby sie ino mnie nie zafciało... — sapał groźnie, zawiązując kierpce — E bestyja, coby sie ino mnie nie zafciało...

— Niegze sie ta i wam zafce, nie będzie z tego wielgiéj biédy.

— Ftoz ci to pedzioł? — spytał podniesionym głosem, prostując krzyże — Poniejedno mi sie jesce moze zafcieć, nic ci do tego smarkulo!

— Pewnie ze nic — odrzekła wzgardliwie.

Stary umilkł. Zapiął i okręcił pas, odział stary, wytarty serdak i ukląkł do pacierza.

Tymczasem zbudził się Wojtek, zerknął na zegar i odwrócił się znów do ściany. Stary modlił się krótko. Jakby go „Imię Ojca“ nową myślą natchnęło, zauważył, zaledwie wstawszy z klęczek:

— Ja jest ociec, pokiel zyje i zyć bede.

— Ftoz wam broni być ocem? — burknął Wojtek od niechcenia.

Jarząbek uderzony niespodzianą a słuszną odpowiedzią, umilkł. Po długiej dopiero chwili zdobył się na nagłe i wielce zaczepne pytanie:

— Kanyś béł wcora, Wojtek?

— Jako? Kanym béł? — cedził Wojtek — W lesie i na polu, tam i sam...

— Kanyś béł?!

— A coz wam do tego? Pytom ja was moze kanyście wy bywali?

— Krotni djascy! — kwiknął stary i skoczył ku synowi — Gadas cy nié?! Jak cie bestyja psiakrew...

Wojtek skoczył z wyrka na równe nogi.

— Sprógujcie ino!

Stali chwilę, mierząc się wzajemnie wzrokiem. Janiela widząc bojową postawę małego dziadygi, roześmiała się złośliwie:

— Piéknie dzień pocynocie!

Ruszyła ramionami i wyszła z izby. Stary tymczasem wrąc od złości, zbierał ślinę w gębie na wszelki wypadek. Po chwili jednak wypluł cały ładunek na ziemię i znacznie sobie tem ulżywszy, usiadł z zamachem na wyrku.

— Tfy! — rzekł dobitnie.

Wojtek wziął się spokojnie do ubierania. Obuł się, wyszedł na podwórze, wrócił umyty aby się zaczesać starannie przed lusterkiem zmieniającem twarz na co innego, zmówił pacierz, poczem siadł, łyknął mleka i przekąsiwszy chlebem, zaczął:

— Z wasego teremtetowania niéma lo mnie strahu, a ino śmiéh po ludziach. Jakoz wy mi śmiécie bronić to, lebo tamto? Abo to ja ten Wojtusina, coście go rzezali po tyłku, kiek jesce w gaciach latał, a z kosulom na wirchu?

— Głupiś! Widzi mi sie zek sie jesce mało nabasował na tobie! Djasek z ciebie nie wyseł! Mam cie tamok z twoimi latami, bąku zatracony!

— Cy mie macie tamok, cy kany indziej, dziś juz nie pora i gadać o tém! Dzisiok ja se na wase ocostwo siedne!

— Spróguj ino!

— A chojbyk i sprógował!

— Spróguj!

Lecz Wojtek nie spróbował. Zaśmiał się tylko kpiąco i rzekł:

— Nie jest ja taki. Prać, ojcowska rzec była! Praliście, dobrze! Jale ki sto djasi pchajom was z tém ocostwem tam, kany wam nic do tego?! Hańba! Tfy!

— Sendy mi do tego! Bronił ja ci kie co inse? Pytałek cie kie drzewiéj, kany laces kieś sie na psie perci puscoł? Nié! Dziś cie o jedno pytom, a ty mało nie słuhos, jesce na mnie psiekrwić a siadać fces? Niegze cie sytkie pierony! Niek cie pokręci bestyjo! Ckojze ty! Ckoj ino hwile! Trzista ześ ty djabłów zjad, dziéwkarzu zatracony! Ckoj ino!

— Płone to bedzie cekonie. Nicego byk nie dockoł, chyba waséj śmierzci, jak was kie przi takiém oździraniu nagła krewecka zaleje, nie daj Boze!

— Ty sam!

Przeszła długa chwila. Jarząbek żuł złość, aż go powoli popuściła. Może przecie poznał, że w ten sposób z synem nie poradzi, a może go wspomnienie śmierci tknęło nieprzyjemnie a rozrzewniająco, dość, że gdy znów się odezwał, był już spokojny a nawet wzruszony.

— Słuhoj Wojtek! Chojbyś i po mojej śmierzci po swojemu onacył, nic byś dobrego nie wyonacył. Praśnij w djabły te niepilce, patrzoj nima to kany indziéj dość godnych dziwek?

Wojtek patrzał w okno i milczał. Stary zachęcony tem, przysiadł się ku niemu i prawił dalej, wpadając w coraz większy zapał:

— Patrzoj ino, nie bede ja ci palcem ukazował! Is je sytkie jakie som jest w Olcy, a w Murzasichlu, a w Porominie, a ratułowskie, a zakopiańskie, a w Ludźmirzu na odpuście, ratuj

Boze duse! Patrzoj: Jantka Kubowa nie fajna je? A Kunda Garalowska z Pardołówki, Jędrkowa siestra, e raty, piékne dziwce! Ma ta trohe wola, jale nie widać... Słuhoj-ze, Hanka od Juhasów, hę?

Trącił go łokciem w brzuch.

— To jest je dziwka! Kwarda jak oscypek, ja wiém! Hehe! Patrzoj jaka je tu, a jaka tu, a wiés, tu, dopiero... E ci psiakrew, na moj dusiu, to jest je śwarne dziwce! — Łyknął głośno i trzasnął się z całej siły w kolana, bo go aż zdławiło na wspomnienie tych wszystkich cudów. Wojtek spojrzał na ojca z pewnem uznaniem i rzekł:

— No prawda. Dziwek jest doś. Nie gadom. Jale co jest, je tamta płońsego?

— E, ciert by sie z tobom dogadał!

— Powiciez sami! Płońsa je? Płońsa ze je przi inyj jako jedla przi jaferze? Ze je gładka na gembie jako nalepsa ina na piersi? Płońsa ze kany sie ine po krówsku wlekom, ona sie nosi jako koza? Ze sie sytkie bojom przi niéj stanąć, coby nie pogasły jako łojówki przi kościelnéj świécy malowanéj? Coz wy mi gwarzycie o Hance Juhasce? A wiécie wy jaka jest je Jewka od Leśnej? Dyć-jek ja jest hłop jako sie patrzi, syn was! Nie ostawie przecie lo byle nadołka sytkich, co sie wam tak widzom! Jewka od Leśnéj? Taka je, ze i nie gadać o niéj! Jesce byk wam lepiéj ten obraz opowiedział, co jest je we farze, z tom świentom pańskom, co ma głowe trupiom pod pachom, a na ksiązce sie modli! Bacycie?

Hej, baczył stary Jarząbek może i lepiej od syna, bo znał i Jewkę i tę świętą z fary!

— Takoz je fajna?

— Wiera...

Patrzał z podziwem na syna i przekonywał się powoli, że

na nic tu jego ojcostwo, choćby go nawet Wojtek i nie przysiadł. Słuchał opisu Jewcynej krasy pilnie i chciwie, i jakby mu się młode lata wróciły, oczy zaszły mgłą marzycielską, a na wąskich ustach zakwitnął uśmiech.

— Ej Wojtek, Wojtek... — mówił, klepiąc go zlekka po kolanie.

Prawił Wojtek o krzywdzie, jaką jej robią dziewki, okrakując niby wrony orła, chcąc z niej zrobić dziwożonę jakowąś, tak jak ze starej Leśnej wiedźmę zrobili. Ale tu mu ojciec wpadł w słowo:

— Kiebyś wiedział telo co ja, samoto byś pedzioł!

— Chojby i tak béło jako padocie, to i co? Ftoz wam pedzioł, ze Jewka na niecystej słuzbie u Leśnéj? Nie cud, ze jom trzimie jak na powrózku, bo coby pocena przez niéj? Dy to baba stara, jak świat, słaba i biédna, a ona sława płanietnicka coście jéj uzdajali, nie pociągnie ta nikogo, coby przistał na słuzbe pod Carny Regiel.

— Juzbyś ty tam i przistał, widzem, i za darmo...

— Chojbyk i fcioł, na nic! Stara nie rada mie ma. Baba zła jest i telo, co tu gadać...

— A to dziwce? Radaz ci ona? Bok tyz słysoł, ze i tom starom miłuje lepiéj rodzonéj...

Wojtek milczał.

— No powiédz Wojtuś, nie grzych prawde rzec. Coz ta béło? — pytał stary ciekawie.

— Zje cozby zaś miało być?

— Oo raty! — obruszył się — cyjeś zgłupioł? Cozby miało być? Dyze o nic nie pytom ino o to co béło!

— Nic.

— Nie rada cie ma?

— Ej cy ja wiém...

Stary roześmiał się.

— Małeś to casy załazil ku niéj? E, praśnij to w djabły, bee tobie lepiéj i mnie! Bees widzioł Wojtuś!

— Nié! — rzekł stanowczo — pokiel tam nie zańdzie taki, coby naloz wiencyl scyńścia, ja nie odeńde.

— Głupiś, jakoś wse bél! Ma to po tobie piérsy z brzyzku jeździć?

— Niegze sie Pambóg nad nim zlutuje! — warknął, ściskając pięść.

— Głupiś jak moje portki! Coz ty mu zrobis? Som jest takie co im i święcona kula nie uredzi...

— Jako? — spytał i zaśmiał się nieswojo... Oto nagle stanęła mu w oczach mocarna postać nieznajomego gościa Leśnej, harda jego uroda, niesamowita godność bijąca z orlej twarzy... Dreszcz go przejął, a w głowie krew zahuczała jak ogień.

— Bajdy... — mruknął, na przekór własnym myślom.

— Haj, bajdy! Dopiéro wcora pado mi babsko, jako ma lepsyk freirów od cie! A coz to? Tyś przecie moze i nalepsy z naskik!

— Bajto... Pedzioła tak?

— Cozbyk mioł łgać?

— Eee! — krzyknął nagle Wojtek — Zawracacie mi tu hlawku płanietnikami! Co ma być, to bedzie! Nimam boja lo byle bajdy!

— Jako fces... — mruknął Jarząbek z westchnieniem.

Obaj czas jakiś milczeli. Dopiero wejście Janieli zbudziło ich z zamyślenia. Stary Jarząbek oderwał rękę z pod brody i westchnął znów ciężko. Potem, jakby położyć chcąc kres nieszczęsnemu przedmiotowi, rzekł nagle:

— Na łanku pod świérkiem trawa sie kładzie. Wysoka co cud. Kosyś wyklepał?

— Wyklepane i nabrusone.

— Osiem godzin sie robi. Biermy sie.

— A podźmy... — zgodził się Wojtek obojętnie. Ruszył ku drzwiom. W progu zagadnęła go cichcem siostra:

— Wojtuś, jakoz? Dopiłeś sie téj wody wcora?

— Idźze ku krowom! — warknął, ale spytał jeszcze: — Jewka śpi?

— Haj, — zaśmiała się — jako kamień!

Poszedł na boisko, postał chwilę nasłuchując, czy nie doleci go oddech śpiącej, lecz nie dosłyszał nic. Zabrał tedy narzędzia przysposobione do roboty i wrócił na ganek, gdzie go czekał ojciec.

Z kosami na ramionach wyszli z obejścia, minęli młyn i wąską kładkę na potoku, i krótką, stromą ścieżką wspięli się na drugą stronę jaru, w zagony rozciągnięte falisto od krańca wsi ku reglom. Zieleniały na nich owsy górskie i skromne, ale kędy się jeno cień na nich od lasu całodzienny nie kładł, trzęsły napęczniałym, brzemiennym kłosem. Słońce zalało już nizkie równie. W wysokiej trawie skrzypiał pasikonik, każde zda się źdźbło roznosiło pogłos, całe łany dzwoniły muzyką.

Niesporo szła dziś Wojtkowi robota. Pozierał co chwila ku odległej drodze za potokiem, a kosa raz wraz zgrzytała o kamień.

— A tobie jesce babskie o n e w glowie, miasto kośby! Patrzoj lepiéj za skalami, dy ik u mnie nie mniéj, a cemu mnie nie zgrzypi? — upominał stary.

— Ale? To moze was te piékności, coście o nik gwarzyli tak podnosom, zeście tacy letcy...

— Haj... — odpowiadał, patrząc z uśmiechem na swoje spracowane ręce.

I znów świstały lśniące kosy i szuścieć poczynały miarowo kładące się źdźbła. Szli dalej, pochyleni na szeroko rozstawionych nogach, zacisnąwszy usta i z bystrą uwagą w oku.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

KRZYŻYK NIESPODZIANY.

Słońce zmiotło z pod ściany smreków uparty cień i wpadło smugami pomiędzy wysokie pnie, niby przez wąskie okna do ponurego kościoła. Kępy paproci, pod którą pełzały jakieś niedojrzane stwory, zadrgały w jaskrawych plamach, — wśród suchych, siwym kołtunem obrosłych gałęzi, grzał się w nich dzięcioł i wiewiórka. Wysoko w igliwiu jazgotało głupkowato ptasie pospólstwo, a dołem brzęczał brzuchaty owad, przysiadający po drodze na różowe od kiprzyn zręby. Zazłociły się krawędzie leśnych polan i słońce iść jęło po nich, ożywiając uzięble w kroplistej rosie koniki polne i susząc im zamokłe instrumenty.

Opodal polany pod Czarnym Reglem, wędrowiec jakiś wałęsał się tam i sam po lesie, niepojętą wykonując czynność: przyklękał, obmacywał drzewa i pniaki, ruszał z odwiecznego spoczynku omszone kamienie, z uporem poszukiwał czegoś, badał, przetrząsał. Rzekłbyś: chłopię małoco urośnięte przy bezrozumnej zabawce. Twarz jego mogłaby też być twarzą dziecka szpetnie wykrzywionego, gdyby nie oczy, oczy wyzierające z głębokich czeluści, i tlące męką długiego a strasznego życia.

Sietniak to był, znany od czasów niepamiętnych szerokim dziedzinom, żyjący niewiedzieć jak i z czego, bo jałmużny brać nie chciał, a do ludzi mruczał jeno opryskliwie, nie dbając wcale czy rozumieją czy nie, osobliwą gwarę jego krzywej gęby. Czasem znikał na długo, słuch też już o nim przepadał, myślano, że mu się wreszcie zmarło. Wyrastały na ludzi dzieci, które kiedyś za nim biegały, i nagle zjawiało się przed nimi żywe wspomnienie z lat dawnych, poczwara ta sama i nie zmieniona wcale, a tylko opryskliwsza teraz dla dorosłego, niż ongiś dla dziecka. Jeśli bo z kim w słowa się wdawał, to tylko z dzieckiem, pastuszkiem błądzącym samotnie za krowami; dwoje i troje dzieci wraz było dlań bowiem jak i człek dorosły, beztroskliwy a zdrowo myślący, co nie ominie sposobności do uśmiania się z pomocą kilku kpinek i garści błota. Ale byli i starsi tacy, od których Niemrawiec nie stronił; juhasi, towarzystwo godnie zaprawione w twardej potrzebie, bliźsi Bogu, co ich przez długie miesiące prażył słońcem, smagał słotą i wichrem, aniżeli najpobożniejsi z odświętnych gości Capkowych, ci witali „Głowacza“ jak swego, gdy go czasem ku halom wyżęło. Pociechę też zeń mieli, bo im bajdami niestworzonemi umilał dłużący się czas. Rozumieli zaś lepiej jego osobliwą mowę, może że do niej już nawykli, a może też, że inaczej, zrozumialej do nich gwarzył...

Patrzajmyż co teraz robi. Oto urwał mu się wśród dziwacznego kluczenia las; obaczył przed sobą zagrodę na polanie. Prześlizgnąwszy się pomiędzy żerdki, obszedł nakształt węszącego psa cały dom. Nagle przypadł do podmurówki przed drzwiami, a potem podniósł szeroko roześmianą twarz. Zaraz też wygramolił się na przyłapek i otwarł bez wahania dźwirze.

Na przeciwległej ścianie paliła się jeszcze ostatkiem sił lampka zaświecona z wieczora, ale płomyczek jej nie wzmacniał wcale skąpego światła izby. Na podłodze, z głową wspartą

o przypiecek, siedziała Leśna zmożona głębokim snem. Ciemność spadła o brzasku dnia na jej zmysły i grążyła dotąd w niemocy, śmierci podobnej.

Niemrawiec podziwił się chwilę w progu, potem wkroczył zwolna do wnętrza i jął rzucać oczyma w około. Obejrzał półkę pełną sprzętu, łyżnik, szklane malowidła pod ciemnym załomem powały. Wreszcie podszedł ku ławie i wzuł się na nią, zadyndawszy krótkiemi nogami.

Promień słońca strzelił z za regli i wpełznął przez otwarte drzwi. Jakby czekając na to, pykać poczęła wypalona docna lampka, a żarzący knot podymił trochę i zgasł. Niemrawiec poświęcił uwagę temu widowisku. Gdy się skończyło, westchnął głęboko.

— Oj kotwi mi sie téz, kotwi...

Patrzał markotnie, jak się pod jego dechem kłębi słoneczna smuga, jak łażą muchy po piecu i odlatują, aby się oddać obrzędowemu wirowaniu pod gwoździem u środka powały. Kiedy znów spojrzał na leżącą, spotkał się z wytrzeszczonemi jej oczyma. Charknął śmiechem i podyndał prędko nogami.

— Patrzicie?

Leśna uniosła głowę. Pamięć jej spała jeszcze. Przeto niewiedzieć co ją bardziej zdumiewało: czy obcy przy przebudzeniu widok, czy legowisko pod piecem.

— Coz to...?

— To ja, zasełek ku wam...

— Zasłeś...

— Haj. Spaliście płanietnicko pod piece, nie fciałek was rusać...

Leśna przetarła oczy, usiłując pozbyć się senności.

— Spałak? Ej raty, stara moja głowa... Śniłak cosi... śniłak...

— Toście wej piéknie śnili, pod piece.

— Pod piece... Cozek to pod piece?

Rzuciła wzrokiem dookoła i nagle wynurzyła się przed nią z niepamięci ostatnia przytomna chwila tej nocy: olbrzymie nogi, okręcone rzemieniem poniżej kolan i jej własne zaplecione na nich ramiona. Serce załopotało temsamem wzruszeniem. Krzyczało o prawdziwości tego cudnego snu. I krzyk ten wybiegł dziko na usta.

— Nie śniłak, nie! Béł on tu, prawdziwie béł!

— Wiera béł! Béł, béł, ino poco? — zaszeptał prędko i niecierpliwie. Leśna dźwignęła się z ziemi i zakręciła żwawo po izbie. Jęła gmerać w skrzyni, dobywać rzeczy jakichś, odkładać. Szeptała coś przytem wciąż do siebie, nie słysząc mamlania Niemrawego. On zaś wiercił się na ławie, rzucał urywane słówka, zaczepiał nieustannie pytaniami, coraz niecierpliwiej usiłował zwrócić na siebie jej uwagę. Wkońcu zesunął się z ławy i szarpnął ją ze złością za spodnicę:

— Gadocie cy nié!

— Cego ci trzo, cudoku?

— Poco załaził ku wam... ten... w nocy?

— Cy ja freirka twoja, cyś ty moze ksiondz, zebyk ci sie miała spowiadać, kie fto ku mnie zońdzie po ćmoku? Icie, jaki to opiekun od cnoty!

— Bajto! Nie pytom was o cnote...

— Luto mi cie, boś głupi.

— Bajto!

Odwinęła się zniecierpliwiona, porwała z półki suchy placek i popchnęła Niemrawca za bary.

— Bajto, bajto! Niebees mi tu bajtokał do zatraconej śmierzci, dziadu bestyjski! Ne tu! Trzim moskolicka i bier sie w swojom droge. Do pola z tobom!

Niemrawiec zatoczył się ku wyjściu i przycupnął w progu,

szczerząc zęby, jak podroczony pies. Chciała go wypchnąć dalej, ale oczy zabłysły mu tak złowrogo, że cofnęła przezornie rękę.

— Nie pytom was moskalicka! — warknął — Ja tu nie po pytaniu!

Przekroczył próg i skinąwszy na nią, wskazał ręką na ziemię u swych stóp.

— Patrzojcie!

Tak ją zniewolił niesamowity wzrok, że miasto zadrwić, wyszła za nim posłusznie. Dojrzała też zaraz, co jej pokazywał: na najdolniejszej belce chałupy, tuż przy progu widniał świeżo wyryty niespodziany znak.

— Tak sie pise O n — rzekł Niemrawiec, a słowa padały mu teraz z ust dobitnie — Ftory od onego światu na ludzkie dziedziny zeńdzie, taki ostawi znak. A kany znak ostanie, tam się ani ogień, ani woda, ani wiater nie hyci!

Leśna podniosła zdumione oczy.

— Prawdeś pedzioł. Ftoześ ty jest, dziwny człeku?

— Nic wam po tém.

— Widziałeś go?

— Nicego-jek nie widzioł. Mie ta dość zacuć, cobyk poznoł!

— Dyć-jeś przecie nie źwiérz, jale człek, chojta pokracny...

— Nie pytom o ludzki honur!

Leśna patrzała z podziwem na swego osobliwego gościa. Nic, tylko płanietnik być musiał, a może jędzoń świadomy wielu prawd, może z jaką wrogą mocą w przymierzu... Zawsze to sposobniej być z takim dobrze. Więc go wciągnęła gościnnie do izby i usadowiła na ławie.

— Ostań ze u mnie, pojédz i popij, pokiela-jek sama tu. Stowarzisyć mi sie z tobom przydzie! W świat mi trza, między ludzi, na wandeŕ...

Zakrzątnęła się koło ognia, a Niemrawiec nie dał się długo zapraszać, gdy za chwilę postawiła przed nim dymiącą strawę. Począł jeść łapczywie. Leśna siedziała obok niego i gwarzyła na-pół do siebie samej:

— Na wander mi iść trza. Kiele dale, Bóg wié... Na kiele casy, Bóg wié... He, mie ta wander nie dziwny, świat mi nie dziwny ani cas... Ze ta za mnom ostanie dum, to i co? Taki ta dum! Dziwka zabanuje... no prawda, Jewki mi zol... Sama ostanie. He, jale dobrom tu bedzie miała opieke! Nie darmo krzizik pod proge!

— Dziwka? — przerwał Niemrawiec — Skróś dziwki Halny dziś po ludzkich, śmierdzących chałupach nocować przichodzi?

— Is go! Jaki je smyśny! — zaśmiała się Leśna.

— Loń jom chowaliście?

— Ciekawyś? Loń i nie loń... Wielgoludka moja znacona je Halnemu, prawda; jale znacona na niewiaste! [1]

Niemrawiec wyłupił nagle oczy na nią, wydął policzki i zakrztusił się śmiechem. Śmiał się, daremnie usiłując coś wymówić. Wrzasła nań oburzona:

— Coz ci to cudoku? Cy cie djasek opętał?!

Wycharkał z trudnością:

— Płanietnicko... To sie on sam do was... w namowiny wybroł?

— A coz to? Nima to moze u Halnego godnego freira?

— Hihihi... Jest ik ta dość! Jaze za duzo!

— Jest hań ino jeden... g o d n y!

Niemrawiec otarł łzy rękawem koszuli, podygotał jeszcze

---

[1] Niewiasta po góralsku: synowa.

chwilę, a potem odkąsił kawał moskala i z pełną gębą zwrócił się do starej:

— Przysięgował wam ten nocny pytoc, ze ma hań takiego bars godnego? Nie wierzcie, nié! Łgoł...

Jak obuchem uderzyła ją wiadomość, że ten dziwny stwór o wszystkiem tak dobrze wie. Wie zapewne więcej niż ona, może nawet więcej, niż sam Halny! Zerwawszy się, załamała ręce aż trzasły stare kości.

— Ftoś ty jest, człeku jakisi dziwny! Gadoj co wiés! Gadoj!

— Co wiém? Ano wiém cosi, jale coście wy za jedna i co macie z Halnym za sprawy?

— Jakoz ci mom odrzec? Sprawy som niemoje! Nie ślebodno mi ik byle komu ozgadować!

— Ckojciez... Powiem wam Leśna bajde jednom, ino patrzojcie cobyście jom rozumieli, bo jest som tacy, co mojéj gwary nie rozumiom. A nie cudujcie sie tyz, kieby mie wpół gadania zamrocyło...

Poprawił się na ławie, pomilczał chwilę, a potem jął powoli opowiadać.

Nie wzruszało go to wcale, że Leśna siedzi jak na rozjarzonych węglach, czekając końca opowieści i wykręcając z niecierpliwości kościste palce. Ciągnął opowieść długo i pomagając sobie wyrazistymi ruchami.

A opowiadał mniej więcej tak:

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

BAJDA O WIETRZE HALNYM, WEDLE GAWĘDZENIA NIEMRAWCOWEGO OPOWIEDZIANA NA NOWO.

— Z dziury co jom se pomiędzy turniami wiater Halny na legowisko wydzióbał, wylazło cosi na skałe. Ciało to miało ludzkie i odziate béło po ludzku w sérdok stary, zdziurawiony, opasek bacowski i portki z wyskubanémi parzenicami. Kłobucka se na łeb ino kańsi zabacył a włosy mu długie, corne i mascone piéknie spadowały na kark. W garzci trzimał rąbanice a z palcysków to mu pazdury rosły okrutne. Z pod pachów jakiesi mu płachciska wisioły cyrniate, kieby u gacka, a co ręce podniós, to jakby skrzidła mioł. Jakisi człek niby, a niby brzida... A to bél sam wiater, Halny.

Wyloz z onéj hań dziury, siod se na wancie okracke, fajke napchoł, w zuby wraził i powolućku zakurził. Pote splunon, kufe rękawem otar, nadon sie i duchnon, jaze sie ozległo po końce Tater... Poseł duk we wirchy, po upłazkach sie odbił i kotlinach, długo hucał dolinami, pokiel nie zcichnon, a jesce sie po piargach skole tocyły... Jale mało tego; ku dziurze sie obyrtnon i huknon jesce raz:

— Hu, dzieciska, pocie haw!

I co sie nie robi, z onéj hań dziury w turni wylazło jaze pięci podobnych jemu, ino ze małych. To były syny Halnego. Śtyrek tam béło co mu je powiły porwane a poniewolone wsiocki w trahu okrutnym i płacu. Śtyrek głupków pół-nicego, ledwo odrośnionych od ziemi, choć im pare-sto roków mijało. Piąty ino bél hłop! Najmłodsy, piéknej miéłośnicy syn, co po swojéj woli Halnego zonom béła.

A tén ociec, jak ik zawołoł, tak im rzece:

— Słuhojcie dzieciska! Ja juz stary, ledwo dychom. Dawno, pado, bywało, kiek se świsnon z Krziwania raz, wygoniałek ściérwo hmury za Babiom i Turbaca, dziś wej duj dzień cały i dwa, telo uredzis, co kiebyś se tęgo z fajki nakurził! Nimoge wam to pedzieć, com siwy, bo choj dwa tysiące roków tu siedze, Ponjezusa pamientam, to i jescek nie posiwioł i nie posiwieje hnetki! Jalek już stary, jako padom, co cud, i słaby. Wyście młode durnie, musicie mi pomagać, coby béło komu zastompić mie za niedługom hwile. Doś wam béło zabawy i figlów! Musicie sie brać do roboty! Bo nie cud to kłobucki ździrać, w dziury świstać, babom kiecki odwijać a w cnote dmuhać, nie cud psocić po polu, ozgrabiać siano a liściami obyrtać! To jest je nie robota, ba zasraństwo! Robota jest je targać smreki i bucki za korzenie, lasy kosić, z wirchami sie za bary brać, chałupy ludzkie tulać kieby syski!

Beecie sie dziś prógować, ftory ma natęzsy duk i ftory je zwyrtny nabarzej! Chybojcie! — pado. Pośli. Na turnicke wyleźli a stary: — Siadojcie mi na kark! — Tak se oni siedli, jale im sie łydki trząsły a ściskali sie coby nie zlecieć. Ozpuścił stary skrzidła jako oreł. Furkotały mu jako płótno mokre, co sie na powrózku przi wietrze susy. Świstał se lecący drobniućkę nute, bo mu wesoło béło. Dzieciska go sie hyciły za kudły na sérdoku

a i za włosy, a co ftory malućko skiełznon, kwicoł ze strahu i pchoł mu sie na kark i na głowe.

Stanęni na Kasprowéj Cubie. Puścił ociec młode na ziem, poustawiał gembom ku Goryckowéj i pado: — Duj jeden z drugim!

Ano, tamte śtyry bękarty zaceny duć; nadeny sie, przikucajom, łapiom powietrze, gemby im zcyrwieniołу, dujom jeden bez drugiego, a nie raz i nie dwa, kie se ftory z ozmachem przisiod, pukłoś niego ku luptowskiéj stronie, jaze sie świstaki po Cihéj dolinie w jamy chowały przed tym pukiem.

Od tego całego ducia potrzęsły sie trosecke kosówki ponad Goryckowom, zawiuchało przi szałasach i po Cmentarzisku, — i juz.

Patrzi Halny, a tén namłodszy nic, ino sie śmieje. Wrzaśnie noń: — Bees mi tu zaraz fukoł, smarku! — Odhipnon mały, bo go fcioł ociec po grzybiecie zmacać, furknon za wielgom wante i ztam z tela kie nie duhnie ku onym śtyrom! He, raty, pokopyrtali sie jeden bez drugiego, potulali ubocom ku kotłu. Duhnon drugi raz: świsnon wiater nad graniom, zjachoł dołu w hale, rusył lasem, pokłoniły sie smreki jaze na Krokwi. Zaśmiał sie stary z uciechy i pado: — Djabli ci w rzyci grali! Mas ty duk, mas!

— Je co ni mom mieć! — pado — Fcecie jesce?

Jale stary hipnon za tamtymi w uboc Pod Zakosy, pozbirał toto, za grzybiety, za gicale, wyniós na wirch, rucił i pado: Jeze, bidoki niemrawe! Z wasego całego ducia, aniby na jednom niedźwiedziom bździnę nie uzbiroł! Hańba! Tfu! Biercie sie do drugiej próby: Icie hań grańkę Giewontowom? Hip na niom! Pieronem! No!

He raty, béło téz strachu, béło! Jakoz tu tele dale hipkać, kie im sie jesce ani razu wej do tych casów nie fciało skrzideł

poprógować! Patrzajom wiaterki to na ojca, to na owom Giewontowom grańke, w dołku ich ściska i łydki sie trzęsom. Ozpajedził sie stary na takie niezdarstwo i kie nie wrzaśnie: — He! Kozie bobki zatracone, hipkocie cy nié!?

Ruch sie zaraz zrobił. Zaceny przeskakiwać, przeskakujom bez skole, bez wanty, z jednej strony grani na drugom. Bojom sie puścić na powietrze, jak ponieftory cłek, co sie boi do wody wliźć, chojta i pływać zdole.

Jaze tu Halny jednego za noge dopod, obyrtnon w powietrzu i śmignie. Gwizło ino, i juz go nimas! Poleciał het, a spad jaze po tamtej stronie Giewontu, na Wielkom Rówień. I nic mu nie było, bo sie przecie na tych swoich skrzydełkak zniós i lekućko zhipnon na trawe.

Wzion sie stary do drugiego, a ten na kolana i w bek: — Jojojoj, tatićku nasłodsy, o nie pierciez mnom tak, nie piercie! Ja juz hipne sam, o raty, wiatry na świecie!

Nie pomogło nic. Sytka śtyry, jeden za drugim, odnaśli sie na Wielgiej Równi.

Ostał Halny z namłodsym. Rzece Halny do namłodsego: — Na cie kolej, synku!

Jaze tu on: — Hipkojcie ino, ociec, niek obace, jako to, a ja zaś za wami. — A zdoles sam? — Cobyk ta nie zdolił! — Niekze bedzie, — pado — cobyś mi tu ino po drodze nie mitręzył. — E wiera nié!

Ozbiegał sie Halny po grani i furknon. Za hwileś go ani nie uwidzioł.

A nie uwidzioł tyz Halny od tych casów syna swojego wiencyl, nié!

. . . .

Tu zmilkł Głowacz i zamyślił się. Leśna, która przy końcu opowiadania usiedzieć już spokojnie nie mogła z niecierpliwości,

wyłamywała palce ze stawów i trzęsła starym żylastym podbródkiem, zerwała się nagle i zakrzyknęła:

— Samo to on gadał! Samo tak beło! Skąd wiés, cudoku. Cyś go potkoł ka we świecie? Cy ci o nim hmury pedzioły? Cy wiés kany je?

Uśmiech rozrzewnienia rozdarł gębę sietniaka.

— O nim wam gadał? O nim? Coz wam gwarził? I cemu wam?

— Kie tak sytko wiés, musis przecie i to wiedzieć, ze od tych casów przepad kansi doznaku, bo go sukał Halny zaraz pote, sukał tydzień, dwa tyźnie, rok, kielo roków! Od Gorycckowej grani po Strąziska nie było kosówki ani nijakiej gęstwy, nie było pod maliniakiem spary ani rozpadliny, co by jej nie przetrząsł, coby w niom nie zajrzał! A i w całyk Tatrak nima wej miesca kany by nie był sukajęcy! Sukały go źwiérzęta, sukały sytkie moce... darmo i na nic. Do tych casów sam jest jeno Halny, ino sie te śtyry niemrawce za nim kiwajom a psocom, a onacom figle głupie, bo nic insego nimogom!

Głowacz pomyślał chwilę, a potem znów zaczął:

— Słuchajciez Leśna daléj...

. . . .

Młody ostał sam. Hej, śmiało mu sie tyz serdecko do tego latania! Hip! poprógował, — i doskocył na Goryckowom Kope. Hej, piknie to tyz tak hipkać! Hip — i juz se przypad zadkem na pościeliska z kosówek na Łopacie. Hip z tam z tela — i juz je na Kondrackiej! Haj raty, miło sercu na wolności! Nikogo przi nim, sam je, jesce ze krapke! Hip! Jesce ze raz! Jesce ze! Hip! Hip!

Kazby tu teraz? Do Giewontu? E nié, jesceby téz! Uzywaj pokielaś ślebodny! Miéły mocny Boze!

Akuratnie ze ponad Cyrwony Wirch kłębiaste chmury wypadły. Musi tyz tam być fajnie w tym puchu!

No i co sie nie robi, zawzion sie wiaterek okrutnie, przisiad tęgo i hipnon... Spad na hmurke i lóg. Ozwalił sie kieby na pierzynie, lezy, myśli se: — Mientko. Dobrze. Tak dobrze jesce nikany nie było. Trza ulądz chojby parę hwilek.

Jaze tu hmurka doń:

— Z daleka?

— Jedy z hań z dołu, — pado — a ty? Kaz tak lecis?

— Ej cy jo wiém?

I tak sie ozgadali. Pyta wiaterek:

— Nie radaś mi moze?

— E rada, boś letki a tęgo hipces.

— Ftoz to cie tak pcho, ze lecis jak waryjok?

— Je taki ta wiater, od Orawy.

Poźrał ku Orawie i dopatrził hnet onego wiatru; siedziało toto na Osobitej i duło na hmury.

Tak se ta lecieli gadajency hwile. Niesły go hmury, rade ze sie ku nim hłop prziplątał, bo były same baby, przigwarzały grzecnie, hwoliły, tuliły, bośkały, lulały. Było mu przijemnie, ślebodnie, wygodnie, — dobrze co cud.

Kabyś ta myśloł teraz o cém insém jak o tem, zeby o nicém nie myśleć, ba lezeć, a lezeć...

Lezoł ze se téz, pokiel go one hmurskie mientkości nie zniemogły snem.

A hmury pchoły sie ku niemu, kłembiły jedna bez drugom, kazda fcioła widzieć, jako se śpi...

Mineny Gąsienicowe stawy, Roztoke, juz i Białom Wode, nad Sérokom Jaworzyńskom sie niesły...

Polecioły do światu.

I coz daléj? — przerwała Leśna — Gadaj, na Bóg ukrzizowany!

— A ftozeście wy som, babo, co was taka ciekawość pali do nieswoik spraw? — zapytał ze zdziwieniem.

Zaśmiała się Leśna.

— Do nieswoik? Do nieswoik? Nie dziwna ja tobie płanietniku, bo nie gadom telo o sobie, kielo ty o cudzyk rzecach! Jam to jest Halna przed stu rokami, jam jest matka tego, co o nim telo wiés!

Stała przed nim prostując się dumnie i wyzywająco. Głowacz ułapił obiema garściami brzeg ławy, jakby chciał skoczyć na równe nogi. Lecz nie skoczył, wyprężył jeno ciało wprzód i utopił w niej wzrok tak straszny i niesamowity, że zatoczyła się i usiadła znów na wyrku. On dyszał prędko, wargi trzęsły mu się od niemych jakichś wyrazów... Mijały chwile długie i ciężkie, znaczone głośnem biciem obu serc. Ważyło się coś, niby groźna rąbanica, niepewna czyli ma spaść i gdzie...

Wreszcie Leśna zmogła się na słowo.

— Doś ci na tém, niemrawce?

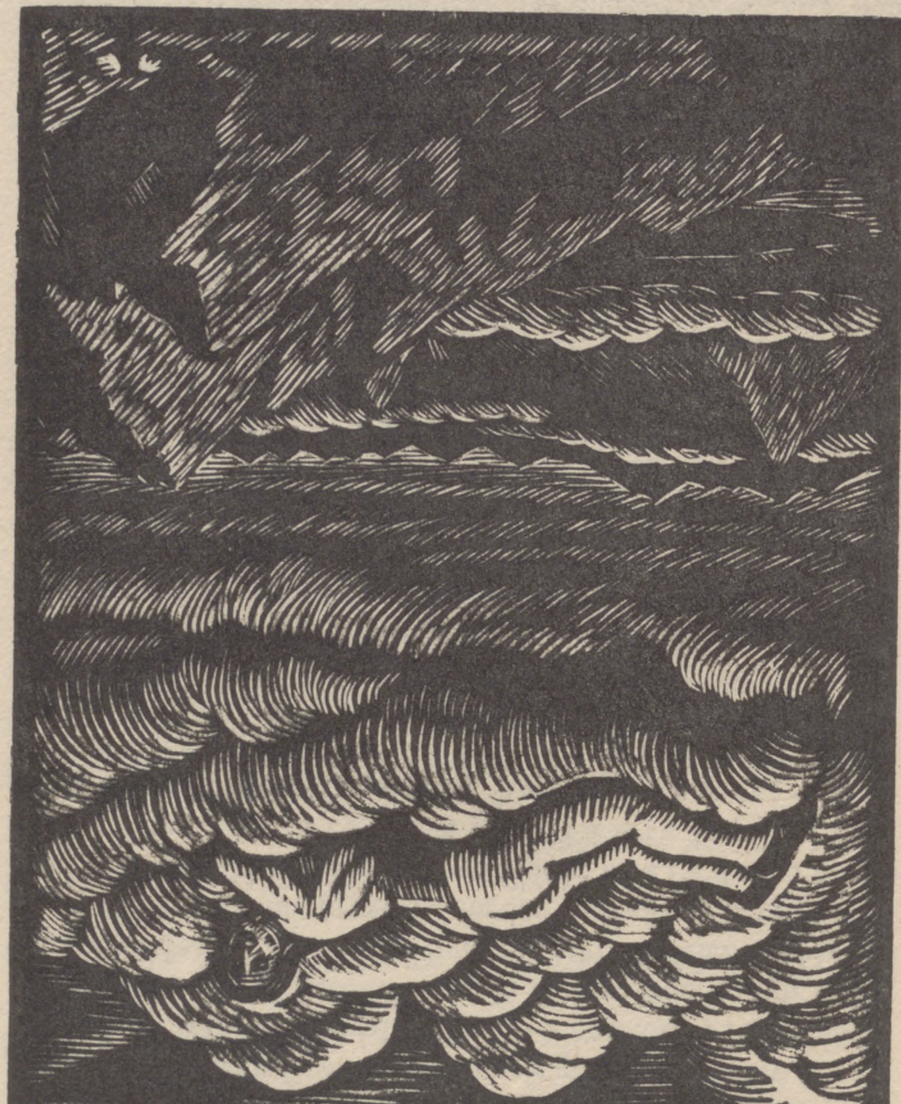
Oderwał od niej wzrok i wzdrygnął się niby spryskany mroźną wodą. Po chwili spytał cicho:

— Prawde gadacie?

— I cozbyk miała łgać? Nie płaci mi juz dzisiok kryć sie przed światem...

— Przed stu rokami... — szepnął — Toście som ta, wygnana za niewiare? Myślałek, ze was ziem juz dawno kryje...

— Hej raty, modliłak sie o śmierzć i nie wymodliłak nic! Musiałak wiédno za pokute zyć i zyć bez kuńca... Tam mi pisana béła młodość po sytkie casy, tu wiecna starość... Fciołak wyprościć mojom wine, ale mi sie dzisiok widzi, zek ino wiencyl nagrzesyła... Jarząbkowy ród, biédoki niescęsne, zacuły pomste mojom, bo niéma człeka, coby telo ludziom skodził, jakok ja im naskodziła! Rósł grzych na grzychu, a na grzybiecie krzizyk



za krzizykiem narastał i gniót do ziemi mojom wiecnom starość... Dopiéro dziś darowane mam sytko! Tak obiecował Halny, ze mi telo jesce zycia, pokiel mu syna nie nońde. A fte juz cysto piéknie umyta bede i oblecona, jako sie godzi do truchły...

— Tak wam obiecował Halny... — powtórzył Niemrawiec w zamyśleniu. — A pedzioł ze wam Halny, jako go syn wołać ma, coby usłysał? Dał-że wam loń znak jaki? Wiéciez wy Halna, cy go wam sukoć nie przydzie między ludźmi? A przecie wiedzieć musicie, jaki jest je zakon we świecie n i e l u d z i: f t o s e z h a ń z t e l a p o t r z é c i e m p i a n i u m i ę d z y l u d z i a m i z m i t r ę z y, o s t a j e j u z h a w n a z a w s e; t r a c i m u s i e d r o g a d o j e g o ś w i a t u, p r z i h o d z i n o ń o d m i a n a t a k a, z e g o i j e g o ś w i a t w i e n c y l n i e o z p o z n a!

— Wiciez wy cy Halny od onyk casów sto razy syna swojego nie potkoł i sto razy go ani nie widzioł?

Zaśmiała się stara.

— Nie stracili oni drogi do sie na wieki, nié! Moze by tak i béło, jale od cego ja tu jest, Halnego posłanicka? Ja mu dam znak i ja mu dam zawołanie, kie go spotkam i ozpoznam!

— Jaki to znak?

— Znak jest je dany mi od Halnego i dobrze w mojem sercu zawarty! Nie posłysy go nik, ino sam Halnego syn! Gadoj mi, kany go mom sukoć, gadoj co wiés. Gadojze, gadoj, dziwny człeku!

Niemrawiec wsparł ciężką głowę na ręce, podumał i rzekł:

— Słuhojciez Leśna, a wzywajcie Imienia Boskiego, bo moze wam juz nieprec do truchły! Słuhojcie o synu wasym miéłym, a ozwiérajcie ocy, cobyście go poznali!

Niedługo béło uzywania jego... Hmury, jako hmury, dziś

som, jutro ik nima, po próznicy byś ik sukoł, pytać co ś nim zrobiéły!

Przisło okrutne wichrzysko kańsi od Węgier i zaduło jak milion djabłów! Wiaterek jak społ, tak sie pod nim hmurzista pościel ozwarła. Skrzidła mu porwało na strzempy, ozcapiérzył ino gicale, i bechnął dołu jak kamień.

Spad na ziem, ozharatał se kufe o wante i lezoł, lezoł długo...

— O ludzie na świecie, o Jezusieńku nasłodsy! — jęczała stara, wijąc się na pościeli.

— Nic nie mówił, ino lezoł. Pote sie ocknon, dźwignon na bok, garzciom za nos ułapiéł. Ozbity miał nos, posoke na pysku, bolało go sytko. Kwiknon ino i gembe do ziemi prziłozył. Oj, chory ja tyz, chory...

— Raty, raty! Maryjo moja! Raty przenaświętse!

— Padocie ze go sukoł Halny i sytkie górskie moce i ze go nońść nimogli? Nie cud to! Jakoz go wej nońść mieli, hań za górami, na nizinak, a i kieby go naśli, jakoz poznoć mieli, małom pokrake z krziwym pyskem, połamionom, opuchnientom wsendy? Ludzie go naśli, poseł w podhale między ludzi i stracił sie hań na zawse.

— Dobrze uwazujcie co wam padom, Halna!

Ona też uważała dobrze. Zerwawszy głowę z poduszek, siedziała oparta plecyma o ścianę i wybałuszone przerażeniem oczy utkwiła w mówiącym.

— Chodzi taka wereda brzyćka po wsiak między ludźmi.

Wielkom ma głowe i nos płaskaty, nic nie robi, ino sie śmieje głupio. Cosi ta mrucy, ze mu sie kotwi, jale ftoz go ta zrozumi, kie pysk ma koślawy i gada po nijakiemu.

Ino kie wiater halny zaduje, w pole wyłazi, ręcami obyrta, a hipkać próguje. Pote siada cichućko i słuho jako wiater duje, jako hucom góry, jako sie smreki huśtajom. Taki sietniok...

Halna siedziała znieruchomiała do kamienia. On zeskoczył z ławy i ukazując swoje łachmany, okręcił się przed nią kilka razy.

— Icie, co mu ostało? Tak piéknie chodzi odziaty. Jalem wam juz rzek: o ludzki honur nie dba. Abo noń zamały abo zawielgi; jak zamały, nie pchoć mu sie między ludzi, jak zawielgi, nie pytoć ludzi o sąd! Mogom go se mieć za co fcom, za niemowe, za niemrawca, za nic!

— Jale dziś! — zawołał radośnie, — dziś on przihodzi do was, Halna i pyta znaku! Jam to jest, Halna, ja, syn was, syn Halnego namilejsy, jam to jest sam! Znak, znak ino dajcie, a wróci mi sie mój świat, wróci mi sie moc i uroda moja, wróci mi sie młodość, bo haniok nima wej starości! Znak dajcie, słysycie, Halna!

Przystąpił do niej, położył jej ręce na ramionach i zaglądnął w oczy patrzące szklano przed się.

— Halna, znak dajcie! Jam to jest!

Leśna milczała. On puścił jej ramiona i zimne mrowie go przebiegło.

— Halna! — szczeknął zdławionym głosem i trącił ją w bok. Osunęła się jak kukła. Niemrawiec zatoczył się i padł na ławę. Przetarł oczy, zawołał raz jeszcze szeptem...

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zakrył twarz rękoma i siedział jak odrętwiały długo, długo. Mraka ciemna opadała

zwolna na jego biedną, wielką głowę, w której kłębiło się, jak w nadeptanem wężowisku. Serce, co od lat wiela dziś po raz pierwszy gorącą zatętniało krwią, ostygało znów, ostygało wartko, aż do nieczucia.

Słońce dobiegało południa, kiedy oderwał ręce od oczu. Patrzał już spokojnie, z mętnym uśmiechem na ustach. Wstał, posunął się ku trupowi na wyrku i przypatrywał chwilę starej, pomarszczonej twarzy.

— Matka... — szepnął. Dotknął nieśmiało żółtego policzka. — Nie patrzoj na mnie...!

Zacisnął jej gwałtem zmartwiałe powieki i cofnął się ku progu.

Świat kąpał się w słońcu, żywiczne powietrze drgało nad polaną. W ciszy leżała samotna zagroda. Na blizkiem rąbanisku, wśród srebrnych pni, rozsiadłych w kiprzynie jak wieloramienne bezgłowe potwory, dzwoniły tęsknie koniki polne. Daleko nad lasami ważyły się pod siwem niebem dwa orły, lecące ku górom...

Niemrawiec postał w progu; pozierał chwilę za niemi, i machnął ręką.

— Ka tam Halny...

Potem zwlókł się z przyłapku i ruszył w las.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

JAKO SIĘ JEWKA ŚMIERCI OKROPNIE PRZESTRASZYŁA.

Ucichły na południe robocze zgrzyty i stuki. Człek złożywszy narzędzie, odpoczywał. Co który dalej od domu zajęty, legał w cieniu i czekał na babę niosącą mu w garnku strawę, co który blisko obejścia robił, brał się z narzędziem na ramieniu do chałupy, a podjadłszy, spał. Jakoż nie miał spać domordowany człek, kiedy w tej spiekocie nawet i zwierzęta widocznie południowy święciły spoczynek: skromniej cykał pasikonik, rzadziej bzykała pszczoła, ptactwo sfrunęło w cień leśny.

Jeden Wojtek Jarząbków w domu wysiedzieć nie mógł. Ledwo łyżki po obiedzie odłożyli, ledwo stary, rozwaliwszy się na wyrku, zadrzemał z fajką w zębach, ruszył Wojtek w drogę pod regle. Uchwalał bo sobie w myśli, że się przecie godzi popytać, jak się też na tem sianie Jewce nocowało; wyszła bowiem, nikt nie wiedział kiedy, bo nie pożegnała nikogo. Prawda, że żegnać trudno było nieobecnych; chłopi kosili za potokiem, Janiela z krowami poszła. Ale mu tam krzywi chyba nie będą że przyszedł, wedle wczorajszych słów Leśnej sądząc...

Tak sobie tedy uchwalał, szukając takich i siakich do odwiedzin pozorów, i zbliżał się do polany.

Kiedy zazburzył u wejścia, nikt się nie odezwał, choć drzwi nie były na moc zawarte. Uchyliwszy ich zatem, wsadził głowę do izby i, słowo Boga chwalące uwięzgło mu w otwartej gębie.

Obaczył obraz zgoła niespodziany. Na wyrku, wyciągniona wznak leżała stara Leśna. Twarz jej żółta, skrzywiona nieruchomo i zamknione na wpadłych oczodołach powieki odrazu powiedziały mu, że to już nie człek żywy, co jeno śpi, ale samo tylko ciało, obojętne wszystkiemu, zewłok ponury i groźny. Powiedziała mu też o tem postawa klęczącej Jewki, co się zapamiętała we wielkiej żałości, ukrywszy twarz w dłoniach, tuż przy trupie chrzestnej. Gdy go ominęło zdumienie, wywołane nagłością tego widoku, ściągnął kapelusz i ukląkł.

— Wiecne spocywanie... a światłość wiekuista... — odszeptał pobożnie.

Potem czekał. Chciał coś rzec, pocieszenie jakieś bąknąć, słowa marły mu na wargach, dziwne wzruszenie szło z onej skamieniałości osieroconej dziewki i kładło mu się na duszy. Długo czekał na jakiś ruch, jakieś westchnienie. Wreszcie dotknął nieśmiało jej ramienia.

— Jewuś, ano Bóg fcioł...

Ocknęła się i obróciła nań oczy; nie uwidział w nich łez, ale ból żywy i przerażenie takie, jakby ją straszna jakaś ręka za serce zdławiła... Dźwignęła się.

— Coz ci Jewka?! — zakrzyknął w głos.

Zadyszała szybko i z trzęsących warg wyrzuciła wraz z tchem:

— Pomerła krzesna...

— Pomerła? — powtórzył, jakby się dopiero w tej chwili o tem dowiedział. I chociaż niema ci nic nad śmierć prostszego, i chociaż Wojtek zawsze sobie podkpiwał z przesądów robiących

ze starej Leśnej coś nadludzkiego, zdziwienie zdjęło go nagle niepomierne: ten człek osobliwy, ta baba dziwna, o której najstarsi ze starych mówili, że od lat niepamiętnych taksamo wyglądała, z której tajemniczą postacią zżyli się ludzie, jako się zżywają z nieodmiennym widokiem góry i potoku, ten wieczny przedmiot nienawiści i sprawca rzekomy nieszczęść jego rodziny, toć to właśnie ta nieboszczka, ten trupek mizerny, wyschnięty i biedny...

Nieswojo się Wojtkowi zrobiło. Aby coś rzec przecie tej sierocie na pociechę i sobie dodać otuchy, bąknął:

— W latak téz była, w latak...

Jewka ułapiła go za rękę i ściskając ją coraz mocniej, wpatrywała się z rosnącem przerażeniem w nieboszczkę.

— Prziseł po jéj duse... — szepnęła.

Przebiegło go zimne mrowie od stóp po włosy. Buchnęło mu w pamięci przypomnienie wczorajszego wieczoru, tajemniczej zjawy obcego gościa, a z niem nagłe, nie do wiary przypuszczenie. Zatrzęsły się pod nim kolana, a w tej samej chwili Jewka przypadła już doń z krzykiem przeraźliwym, co wreszcie w piersi jej odtajał.

— Wojtek! Śmierzć to béła! Śmierzć!

Przygarnął ją ramieniem ruchem wartkim i obronnym, choć sam drżący od przejęcia.

— Bój sie Boga, Jewka! — wyszeptał.

— Raty! Raty! Raty! — rzucała szybko.

— Cihoze Jewka, cihoze, ciho...

Tuliła się pod jego ramię, jak się tuli w wielkiej trwodze dziecko bezbronne do matki.

— Jezus Maryja, Wojtek! Śmierzć, Śmierzć!

A z nim dziwne działy się rzeczy. Strach go ominął wnet, strach, co się wylęgnął jeno z babskiego, śmiesznego przywidze-

nia. Ale cóż że się nie bał, kiedy mu się grdyka taksamo ściskała i taksamo ręce się trzęsły, jak się ściska grdyka i trzęsą ręce z wielkiego strachu! Nie wiedział co robić, czy uspokajać tę dziewkę co mu się sama pchała w ramiona, czy ją ugłaskiwać a tulić po ojcowsku, czy zabaczywszy o powadze miejsca i chwili, porwać ją w krzepki, chłopski uścisk...

Tak mu było głupio, że miasto garnąć, bezmyślnie ją właśnie odpychał, bajdurząc przytem całe mnóstwo słów, jakie się wydarza bajdurzyć, gdy się musi koniecznie coś mówić, a nie wie co i jak.

— Jewka, Jewuś, nie bój ze sie, nié, dy jej przecie nie zabił, nima wej zadnego strahu, a chyba ino pomodlić sie przydzie za tom niebozyckom...

Przesiliło się wreszcie znękane tylu nieznanemi wzruszeniami, obolałe od żalu serce kobiece. Oczy Jewcyne trysły łzami. Wyrwała się z jego ramion i padła z wyciem obok zimnego trupa płanietnicy.

Wojtek stał, patrząc z żałością i politowaniem na tę żałobę. Potem zbliżył się cicho do skrzyni, podniósł wieko i jął pomiędzy różnorakim przyodziewkiem szukać święconej gromnicy.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

JAKO SIĘ WOJTEK NA WIECZORNICY SPIŁ.

— Dyć-ze ino dyny, dyć-ze ino dana! — zawodził Jędrek Kaścyn, przysiadłszy się do muzykantów. Obok niego stary Bartek z Kościelisk dokazywał cudów swemi spracowanemi, grubemi palczyskami. Nuta sypała się srebrzyście, czystemi, nanizanemi misternie paciorami. Smyk i noga wytupująca miarę, szły jak maszyna, równo, nieprzerwanie, a skrzypek oczy przymknął i chwiał odchyloną głową, niby w upojeniu radosnem i zachwycie. Dwóch młodszych muzykantów wtórowało tuż, a w samym kącie siedział długi Wawrzek i huczał na basach jak wściekły.

Tancerz jakowyś nosił się po izbie okazale, nogi migały mu drobnym, niepochwytnym ruchem. Gdy se czasem twardą stopą przytupnie, rzekłbyś, że strząsa i wbija w ziem cały ciężar rosłego ciała, by się ponieść dalej duchem jakimś bez wagi.

Poskoczył inny, wcisnął mocniej kłobuk, plasnął w dłonie, porwał z ławy dziewczynę. Zwyrtnął się z nią dziko w jedną stronę i w drugą i puścił przed tancerza. Uciekać jęła drobniusieńkiemi kroczkami, to przodem, to tyłem, okręcała się zwinnie, patrząc mu wciąż bacznie i z podziwem na biegłe stopy; prę-

żyła przed nim jędrne, małe piersi, któremi pęczniał purpurowy gorsecik. Latały wkoło niej bombiaste spodniczki, zawsze jedną ręką w stosownej chwili dyskretnie skarcone, zawijały się zwisające z pod odrzuconej na kark chustki, ciasno plecione warkoczyki.

A on ponosił się ku niej, nadlatywał jak tokujący ptak, niby straszył męzką grozą i pięknością, przypierał niemal do ściany — i już odbiegał obojętny, zimny, odwracał się tyłem, wydeptywał sobie w miejscu szalone jakieś rytmy.

— Tąńcy bo tąńcy, — cudowały się baby — Co wam powiem, to wam powiem, ale wam powiem: tąńcy!

— Doś-ta, doś-ta... — przyświadczali gazdowie.

A najmłodsi patrzyli pilnie i spamiętywali.

Siedziano wkoło na ławach pod ścianami i ciśnięto się w drugiej izbie, kędy traktowała Janiela piwem i zakąską i stary Jarząbek bawił gości. Radość go rozpierała dzika i ochota do życia. Śmierć Leśnej stała się dlań wyzwoleniem ze zgryzot, smutku i złości. Kamień co cisnął mu piersi przez całe życie, spadł. Oto w tydzień po jej pogrzebaniu wyprawiał muzykę, co ażby mu się grzechem wydała, jako wesele nad bliźniego trumną, gdyby nie wiara, że ta nieboszczka nie bliźnim była, którego się godzi użalić, ale złem samem i przekleństwem.

— Nie w święconej ziemi béło lo niéj miesce! Ze ta ksiondz pokropił i pomaścił, to i co? Byłbyk jom ka z gudłajami wraz pogrzebał, a nie u nas na smyntorzu, kany sie ludziom godnym, a krześcijanom legać patrzi na wiecne spocywanie.

— Niek jéj ta Pambóg bedzie lutosierny! — wzdychał tkliwy Jędrek Kaścyn.

— A niek jéj ta jako fce! Cozbyk mioł umerlakowi zawidzieć Boskiego miłosierdzia? Niek jéj ta!

Popijali gazdowie i gaździny, pogwarek toczył się żwawy o tem i o owem, a w drugiej izbie huczały basy i dudniała podłoga od tańców.

W kąciku jakimś siedziała Jewka. Cóż miała robić i gdzie się podziać? Jarząbki rozdmuchiwały w niej podejrzenie, że ta nieboszczka jednak nie była w zgodzie z Panem Bogiem, a choćby nawet, toć to przecie nie krewna żadna, nie grzech zatem na wieczornicy posiedzieć; nikt ci ją przecie do tańczenia namawiał nie będzie. Może i nie tyle dawała posłuchu Jarząbkowemu gadaniu, ile uciekała sama przed niesamowitym lękiem i odgonić starała się widma niepokojące ją po nocach we śnie, a i w myślach napływających pomimo woli na jawie. Nikt jej tu nie był krzyw. Ojciec Wojtka, jakby go odmieniło, rad nawet widział, że zamknąwszy chałupę pod reglami, przesiadywała u nich, pomagając dzielnie Janieli — a i przed chłopską, sił większych wymagającą robotą nie uciekając.

Siedziała tu zatem, ale wesołość nijak jej się czepić nie chciała. Wojtek coraz się przysiadał, albo łaził za nią, gdy wyręczając Janielę, obchodziła gości z traktamentem. Życzliwie do niej przygwarzali ludzie, ten i ów współczucie wyraził, baby starsze od serca i poprostu, młodsze gaździnki i dziewki o urodę zazdrosne nierzadko z lekkim przytykiem do jej pochodzenia nieznanego i osoby zmarłej opiekunki.

— Napij-ze sie dziéwce! — namawiał Szymek, podsuwając piwo.

— Bóg zapłać!

— E raty, — obruszał się, — je dy i po rodzonym na pogrzebie pić nie grzych!

— Piwo jest dobre — zaświadczał ze znawstwem Jędrek Kaścyn, toczący łzawem okiem za butelką.

— Ceskie.

— Haj! Cechy, psia ik mać, znajom piwo warzyć!

— Cech wiécie, jako ta Cech, jale piwo warzi, ej warzi!

— Co wam powiem, to wam powiem, jale wam powiem: Cech piwo warzi grzecnie! No nié?

— Ej, grzecnie! Chojta za dawnyk lat bywało lepse...

— Za dawnyk lat sytko lepse bywało! He raty, kieby ja mioł dwaścia roków! — westchnął Jędrek. Milczał długo, zasępiony wielce. Nie słuchał już i rozmów, siedział jeno i pił. Mocno już napity wstał i poszedł ku muzyce, do drugiej izby.

Właśnie sie zwyrtał Jasiek z Kozińca z Hanką Juhaską, kiedy Jędrek, pokłoniwszy się pięknie kłobukiem, ryknął muzyce:

A ja sobie z góry jade
Dziwki zbiéram, na wóz kłade...

Bartek przerwał na chwilę grę, przeciągnął kalafonją po strunach, rzymce a cienkiej, pokręcił kołka i zagrał krzesanego. Skoczył Jędrek pod powałę, przysiadł, zerwał się i krzesać jął zapamiętale. Bił się dłońmi po kolanach i po kierpcach, w przedziwnych łamańcach pokrzykiwał, przytupywał wściekle, jakby się uwziął powygniatać deski podłogi i w drzazgi je zamienić.

— Cudok! Cudok!

Uśmiechali się pod wąsem starzy, baby uciekały z chichotem do sieni, młodzi zachwalali złośliwie, pobudzając zapał tancerza. Tak se to Jędrek zatańcować chciał robaka, co go gryzł. Wypadało mu wyzwyrtać dziewuchę. Cóż, kiedy się jakoś ociągały! Już się brała Kunda Garalowska, Jędrkowa siostra wydana, do dwunastoletniej Marysi Niebieski, kiedy popuściła struna na basach i Bartek przerwać musiał granie. Kiedy zaś po chwili zahuczał nastrojony świeżo bas, Jędrek Kaścyn siedział już w drugiej izbie na kolanach Kaśki i prawił:

— Przeboc-ze, bok trohe pijany... Trohek pijany, bestyja...

Więc Wawrzek Zmarzły oddał basy swemu młodszemu bratu i wstał, a był tak wysoki, że mu inni do pachów ledwie sięgali. Zaśpiewał grubo przed muzyką i puścił się na izbę. Krzesał spokojnie a zawzięcie. Znać było, że go moc rozpiera i matura setna — i jak u konia cuglami ściąganego, tem większa ze spokoju owego wyzierała ognistość. We wzniesioną twarz krew nabiegała, kłobuk na czub głowy zsunięty odsłonił czarne kosmyki, po których znów jął spływać na czoło, a Wawrzek tańczył i tańczył, niby bez wysiłku, spokojnie a coraz szybciej, coraz drobniej, coraz sztuczniej. Dziewucha, którą mu wyzwyrtali, tchu złapać niemogąc, runęła wreszcie na ławę, ku uciesze innych.

— Spróguj ty! — odcięła się.

Ale poszła w tan dalej, bo jej się wielce zwidział Wawrzek.

— Hejha, Doniebasie! — krzyknął mu jej brat — Cobyś mi siestry nie zatańcował!

Wawrzek Zmarzły, dla wielkiego wzrostu zwany Doniebasem, uśmiechnął się i tańczył dalej. Gdy się nakoniec zwyrtnął w „zielonym", chwalić poczęto w głos siłę wielką i piękny taniec. Młodzi ciągnęli na napitek, dziewki pozierały gorącemi oczyma. A Wawrzek uśmiechał się nieśmiało jak panna i ocierał chustką czoło.

— Dajciez dychnąć...

— Pojdze, podź, dychnies przi piwie!

Starsze gaździny, co miały córki na wydaniu, zwierzały się sobie:

— Hłop je grzecny, skoda ze dziod...

Jewce Leśnej, która prawie że nieznała zabawy, całą młodość spędziwszy w samotni, u boku zazdrosnej opiekunki, okrutnie pięknym wydał się ten taniec. Patrzała z za ramion gości,

co się tłoczyli oglądać Wawrzkową sztukę i podziw ją przeniknął. Jakieś mrowie radosne łaziło po niej i stopy, niby niewidzialnemi nićmi ze stopami tancerza połączone, odrywały się nieledwie od ziemi i ponosiły do tańca. I teraz, kiedy już skończyło się widowisko, wodziła za Wawrzkiem oczyma takiemi, że młodego Jarząbka, co ją śledził, jasne pierony trafiały.

Muzykanci, przerwawszy grę, przeszli za innymi odwilżyć zaschłe gardła i dodać sobie ducha. Pogwarek nie głuszony muzyką wzmógł się tak, że ledwie można się było z najbliższym sąsiadem dogadać. Milczeli tylko niektórzy, przygwożdżeni i zagrzebani pod ścianami przez innych, siedzących im na kolanach. A siedzieli sobie wzajem, baby u chłopów, chłopi u bab, dziewki i parobcy, gdzie i jak kto chciał i mógł.

Wojtek usiłował rozruszać Jewkę i namawiał do wypicia „kielusecka". Nie markociła się też zbytnio. Rada nawet słuchała gwaru i śmiechów, gasły w nich, bodaj na chwilę, uparte wspomnienia, trujące jej myśli nieodgadnioną a straszną tajemniczością. Ale pić nie chciała; gdy ją Wojtek po chwili odszedł, przysunęła się do rozbawionego towarzystwa, w którem rej wiódł pijanica Jędrek, ze swoją nieodzowną gadką o puhaczu.

— To béł wej taki wielgi ptok, co cud! A béłbyś go kany po dniu dopod, hipkał na cie z pazdurami! O tak... — Tu poskakiwał ze srogą miną, nikt się wszelako nie bał, a tylko co trzeźwiejsze, ryczało śmiechem.

Jewce uprzykrzyła się wkońcu gwarliwość ciżby. Wysunęła się z dusznej i zadymionej chałupy na ganeczek, aby zaczerpnąć powietrza i dać uszom na chwilę zażyć ciszy. Zastała tam samotnie siedzącą Janielę, wpatrzoną w ciemność, bo na świecie czarno już było całkiem. Milczały obie, każda własną jakowąś troskę w sercu nosząc.

Noc była pogodna i chłodna, bez miesiąca lecz gwiaździsta.

Z wnętrza izb dolatywał głuchy gwar i rzempolenie strojonych skrzypiec.

Jewka wsłuchiwała się w jednostajny szum potoka, głos przedziwnie myśl ludzką ukołysujący...

— Płynie se tak ta woda od początku świata... Nic jej nie odmieni, bo jest jeno wodą i jeno płynie. Niewie nic o ludzkim smutku ni weselu, o złości ni o dobroci. Nic jej nie cieszy, nic nie boli, nic nie wzrusza. Bo jest wieczna. Bo jest jak i sam czas. Słyszy ją człek, ledwie się z żywota matczynego dzieckiem wygrzebawszy, słyszy ją, kiedy mu sie w truchłę kłaść przyjdzie. Ten szum samo-tak słyszały pradziady i samo-tak słyszeć będą prawnuki. Nie wody to szum a jeno czasu, przelewającego się nieodmiennie, niewstrzymanie...

I coże warce człek ze swoją uciechą albo i ze smutkiem? Śmiech jest jak łyśnięcie błyskawicy, łzy jako rosa. Miną się za chwilę — i tyle ich...

Ileżeś się ty takich majaków napatrzyła, wodo! Choćbyś i baczyć umiała, nie baczyłabyś. Poco? Co wieczności z tego i co jej tam o to, czy się dziś na świecie jeden czy tysiąc ludzi narodzi albo zemrze?

Nie na ludziach świat budowany, nie! Bo i cóż, że myśl człeka buja kędy się jej zachce? Cóż że jest, powiadają, ślebodna? Albo to ślebodny nie jest i ten kret ryjący ziem, co ani niewie co to oczy, co to widzenie świata? —

Takie rozmyślania przerwał jej Wojtek, co wypadłszy na ganek, nawołał Janielę do ojca. Gdy odeszła, nachylił się ku Jewce i jako że mu się dobrze zagrzała krew w tańcu i przy trunku, a ciemność namawiała do szczerości, zaczął jej szeptać gorąco a namiętnie w samo ucho:

— Jewka, Jewuś...

— Idze Wojtek, słyszis, zbójnickiego grajom!

Przez uchylone drzwi dolatywały głuszone przez ciżbę dźwięki orawskiego marsza. Ale Wojtkowi nie spieszno tam było. Przysiadł na ławce i mówił szybko:

— Jewuś, radbyk skonał co dla cie, coby cie odmieniło juz raz! Nie widzis rada ludzi a muzyki, idź, jest hań na sopie siano, nocleg fajniéjsy jako na wyrku! A nie myśl, zeby ja wolał ostawać tu, jako haniok z tobom być, Jewuś! Jewka, Jewka, nie bądź taka, a chybaj se mnom, chybaj...!

Objął ją ramieniem i przestał mówić, a tylko jęczał namiętnie i prosząco. Nie odsuwała go, ale i nie garnęła.

— Idzze Wojtek, ty waryjoku! Dy ci sie broniła nie bede, kie mie juz telo rad widzis, jale bójze sie Boga, załość jesce w nuku za tom, co mi matkom béła, a tobie w głowie figle, boś se jom zakręcił piwskem! Wstyd Wojtek, nie byłeś taki, kieś mi przi niebozycce obiecował opieke a cierpliwość. Wiés przecie zek bez to ino przistała ku wam!

Odsunął się zły.

— Nicpote w tobie rozumienie! Juzbyk i myśloł ze sie na mniske wyonacys, kiebyk nie bél widział, jako cie za tym Wawrzkem tańcującym okrącało! Lepsy taki dziod lo cie a i odmirzany na twojom miare! Pewnie! Ja, tobyk moze i za całom noc nie obleciał od głowy do pięt!

— Nie pyskuj! — krzyknęła wstając — Wara od mie! A chojbyk i wolała, to i co? Nie ślebodno mi? Cy-jek ci to przisięgała co?!

Przeraził się i odrazu zmiękł.

— Jewka! — zawołał stłumionym głosem, usiłując ją zatrzymać — Jewka, przecie sie fcem zynić z tobom!

— Nie tykoj mie!

Weszła do izby wzburzona.

Ale za chwilę już żal jej się zrobiło Wojtka. Wszakci do-

bre było dla niej to chłopczysko i krzywdę zrobiła twardem słowem jego wielkiemu miłowaniu. Chciała zawrócić, odrzec mu jeszcze inaczej, wytłumaczyć, poprosić... Ale zalała się za nią ciżba i wypełniła szczelnie całą sień, aby choć przez drzwi popatrzeć jako tańcują zbójnickiego.

Szły chłopy młode i rosłe kołem po izbie, poszczękując ciupagami, trzymanemi za toporzyska. Zawziętość mieli w oku i maturę setną, dudnili ciężko kierpcami w podłogę. Stanęli przed muzyką i ryknęli:

Biermy się du drogi nockom ciémnom...

Skrzypce w mig zmieniły nutę. Poczęli drobić zlekka, unosząc się nad ziemią, rzekłbyś: do lotu się jeno z rozmysłu nie podrywając. W pośrodku koła okręcał się poważnie Jasisko Bystrzan, wielki jak niedźwiedź, zrzadka i ciężko przytupując grubą nogą:

— Aśta drum! Aśta drum!

Nagle Wojtek Jarząbków skoczył przed grajków z butelką i kieliszkiem. Przerwał muzykę, począł nalewać po kolei muzykantom, tańczącym, sobie.

— Ej, hłopcy! — zawiódł po juhasku i świsnął w palce.

Pije zbójnik pije — dukatami płaci!
Wezmom go do nieba, janiołowie swaci!

Tancerze jęli toczyć wyzywającym wzrokiem, jakby ich samych iście zamieniło w zbójników. Bartek popróbował skrzypiec, a Wojtek huknął mu w twarz:

Poza bucki — poza hraść!
Podźmy hłopcy, zbijać kraść!

Ucięły skrzypce zbójnickiego. Bas zahuczał urywanie, ze zdwojoną mocą. Szczęknęły ciupagi, rzucone w środek koła,

do stóp harnasia. Hipnął Wojtek pod powałę, trzasnął się rękami w pięty, spadł i przysiadać jął lekko, sprężyście. Za nim kołem inni tancerze, a niełatwo rzec, który lekcej, który piękniej który sztuczniej. Pośrodku zaś koła Jasisko Bystrzan, zbyt ciężki do przysiadania, okręcał się jeno nieco żwawiej i wstrząsając rąbanicą, pokrzykiwał: — Ej hop!

Rzekłbyś: nie te same to były chłopy... Biła od nich roztlała na chwilę jakaś siła, którą dawno już pogrzebli w sobie ludzie. Budziły się w nich własne ich dziady i pradziady, duch czasów starodawnych, tak dawnych, że bajdą już dziś dla nich będący... Któż bo z nich wie, że ta Bartusiowa muzyka, co ich w tańcu nad ziemią unosi, to tasama, prawdziwa matura chłopców Janosikowych, co hipkali wyżej smreka, ciskali wantą o milę, chadzali po lasach zamieszkanych przez boginki i dziwożony, tasama matura olbrzymów, którym może i nie ludzie ojcami byli, a same Moce, Wichry, Strumienie i Góry...

Któż z nich wie, że to tasama matura, co dziś ostała się jeszcze tylko tym Bartusiowym skrzypkom?

I Jewka nie wiedziała dlaczego jej po krzyżach dziwne przemykały ciarki, łechtały w piersi i biodra, czemu ją w nuku ckliwość jakaś mgliła, podchodziła w gardziel i ściskała, aże łzy w oczach stawały...

A kiedy tańczący Wojtek strzelił w nią ognistym wzrokiem, kolana ugięły się pod Jewką i twarz spłonęła od tego wzroku, boć to nie jego były oczy, nie jego, a jeno t a m t e, widziane raz, a niezabaczone nigdy...!

Przytomność ją odbiegła, ostatkiem sił przemknęła przez ciżbę i runęła w mrok, do pola. Oparła się dopiero przy płocie, dysząc szybko.

Dostrzegł Wojtek jej nagłą ucieczkę i wypadł za nią. Wi-

działa cień jego w oświeconych dźwirzach. Szukał jej widocznie oczyma w mroku.

— Jewka!

Ręce jej same wyciągnęły się do niego, a z warg wybiegło:

— Tum Wojtuś, tu...

— Kanyś jest?

Mowę jej odjęło ze wzruszenia i słabości. Nie odrzekła nic. Ale już ją dopadł i chwycił w ramiona.

— Wojtek! Wojtuś, Wojtuś... — krzyknęła zdławionym głosem.

Przyparł ją mocno sobą do płotu. Chciała zwolnić jego uścisk, ale sił jej dziwnie nie stało, a może i woli...

Zarzęził jej drwiąco w same usta:

— Przecie ci sie onyk figlów zafciało... Zawseś ty ino dziéwka!

Zaleciał ją ostry wyziew gorzałki. Odwróciła głowę, broniąc się jego ustom, a w tej chwili ułapił ją nagle całą garścią za kieckę i uszczypnął prostacko.

— Tuś mi, bestyjo?! — ryknął głośno.

Zagorzał w niej gniew i wytrzeźwił raptownie. Rozerwała mu brutalnie ręce, niby chłopięciu niemocnemu i pchnęła, aż się zatoczył i runął pod płot na zroszoną łąkę.

— Ty flaku jeden, ty...

Począł się grzebać pijanymi ruchy. Gdy wreszcie wstał i tocząc oczyma w ciemności zakrzyknął za nią kilkakrotnie, była już daleko.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

JAKO JEWKA, W HALE WYWĘDROWAWSZY, PRZYSTAŁA DO JUHASÓW.

Choć się niby lato już kończyło i nadchodziła jesień, pogoda trwała wciąż niezmienna. Juhasi na halach gwarzyli wprawdzie, że lada dzień owiec doić zaniechają i myśleć będą o redykaniu ku dolinom, ale tymczasem dość jeszcze było roboty wszelakiej.

Nie obce było Jewce pasterskie rzemiosło, chodzenie przy bydle po rozległych, paśnych obszarach i za owcami, co rade wyskubują ostrym pyskiem kępki traw na stromych, kamienistych zboczach, wszystkie zalety sprawnego juhasa i doświadczonego bacy znała dobrze i pamiętała. Wiedziano też o tem na hali i radzi jej byli wszyscy, bo nie siedziała darmo, ale tęgą miano z niej pomoc. Baca, stary Maciek ze Zębu na wyręce i sumienności jej polegał tak, że nieraz ostawiał jej staranie o kocioł z żentycą i oscypki, a sam brał gajdy i siadał w progu szałasu. Rade jej też były juhasy, chadzające w szarych, tłuszczonych koszulach i honielniki, chłopięta z różnych stron, bo im się dość ukotwiło tutaj w chłopskiem towarzystwie przez całe długie lato. Zawszeć przecie „weselsa dolina, kie na niéj dziéwcyna“.

Rankami, lemże na granatowem, od wschodu siwiejącem niebie gwiazdy gasnąć poczynały, lemże poczynały pozbyrkiwać żwawiej pobudzone owce, brała się z gieletą do strągi. Nie przeciwił się dojarz, kiedy siadała na jego miejscu w „oknie“, bo wiedział, że jej dojenie idzie sporzej, niźli komu. Stawał jeno przy niej i zapoznawał z każdą byrką z osobna w olbrzymim kierdelu.

— Is, ta hań kurnasista nie postoi ci nigdy! A siłe ma! Trzimze jom dobrze! A ta tu cółka nie popuści z dójek, pokiel jéj po grzybiecie nie zmacos! Ta sie doi ino raz dnia. — I tak dalej, do ostatniej. Niebawem znała już wszystkie.

Po udoju patrzała jak się rozchodzący kierdel gubił w rannej pomroce, jak się słoneczny blask zlewał z sinością nieba w pas zielony niby łanek bladego lnu, żółknący, różowiejący wzwyż, bielejący od nieboskłonu, jak się wreszcie z nad dalekich, nizinnych lasów wyłaniała złota monstrancyja.

Do chodzenia za statkiem dość było pastuchów. Ostawała tedy często sama przy opuszczonych szałasach, albo szła błąkać się bezczynnie po uboczach. Niepomiernie dłużył się jej dzień, dręczyło ją wciąż jakieś wyczekiwanie, nadzieja niewiada czego, a co się stać ma niby lada chwila, cierpliwość jej wystawiała na próby okrutne. Czasem znów opadała ją senność, lejąca się ze słońca na umęczone włóczęgą członki. Legała wówczas na trawie i zdawała się ciałem i duszą na wolę tego, co się samo dziać będzie.

A kiedy se tak człek legnie w zielonej uboczy, wznak i z twarzą skrytą w cień kosodrzewu, próżen trosk o dom, gazdostwo, chudobę i byt, osobliwe myśli błądzą mu po głowie, przedziwne zjawy wiją się w zamkniętych oczach. Gdyby przyszło mówić o tem, daremnie byś się silił na słowa... Gdy uniesiesz powiek, widzisz jeno nad sobą na siwem niebie czarną

kosówkę, skrywającą słońce, gdy je zasuniesz, otwiera się pod niemi dal nieskończona, po której snują się w różowym mroku plamy jakieś podłużne, niby oczy o różnobarwnych źrenicach, powstające znikąd, rosnące, wnikające gdzieś w głąb czaszki... Chciałbyś zatrzymać piękniejszą jakąś barwę, ale bajto! Widmo rozpływa się, ustępując już innemu...

Ogarnia cię lenistwo przyjemne, a zwolna zapomnienie o świecie całym, nieczucie własnego ciała. Bezwolne, płone myśli, napływające i niknące taksamo, jak owe tysiączne zjawy pod powiekami, poczynają nabierać wyrazistości, dziwacznie dłużą się nieprawdopodobne, cudackie jakieś widowiska... I znów, gdy schwycić pragniesz któryś z takich obrazów, utrwalić bodaj na chwilę, by mu się zblizka przypatrzeć i jasno pojąć, — nikną, — a tobie nagły wstrząs otwiera oczy: uleciał właśnie miły sen, co cię miał zmorzyć w tej chwili...

Po hali zbyrkają zrzadka owcze dzwonki, czasem uderzy słabo uszy głos hukającego pastucha,—tępe, niewyraźne dźwięki, niby obtajałe od żaru i stłumione rozsłonecznionem powietrzem. W dalekiej wgłębi kotła górskiego, kędyś z wysokiego stawu siklawą spadający strumień, szumi jednostajnie, uporczywie.

A gdy się pod wieczór cienie z dolin dźwigną i zagarniając nizkie hale wstępują powoli wyżej i wyżej, wzrok błądzi długo po dalekich, słonecznych jeszcze wierchach. Bierze człeka tęsknota za własną myślą, której tak nietrudno ulecieć precz, wić się pośród turni i przełączek po niezbadanych, kozich chodnikach, albo i bujać nad graniami, niczem orzeł rozpięty na skrzydłach. I ciągnie, ciągnie za oczyma i myślą, ciągnie nieodparcie, jakby tam były dziedziny bardziej swoje i bliskie, lepiej znane i milsze nad wszystko, co otacza człeka dólskiego...

A jednocześnie zimny przejmuje lęk. Lęk przed nieznaną

grozą i opuszczeniem. Boć tam samotnia straszna. Pustka bezlitosna, jeśli tam niema nic prócz tego, co sobie ludzki tłómaczy wzrok i słuch...

— Ftoz wié cy jest je, cy nima... Kieby bél znak jaki, jakie świadectwo...

Niby owe zwidy słoneczne, półsenne, jawią się Jewczynym myślom dwie głębokie i czarne, jak górskie jeziora źrenice.

— Ja nie widziała a bacem... — szepce uparcie w jej sercu.

Bywało też, że posłuszna owemu nieprzepartemu ciągowi zachodziła precz od hali, aże popod same granitowe ściany, w puste kotliny, kędy się poczynały kliny piargów szeroko rozsypane, kierpiec stąpnął nagle na szczelinę pośród złomisk, odwiecznym, zczerniałym śniegiem twardo nabitą. Albo wynosiło ją na daleką, zieloną przełecz, za którą otwierał się widok na inne światy. Zeszła też percią i poza przełęcz, i stojąc długo na stromej zboczy, wsłuchiwała się w nieustający, tajemniczy szum nieznanych dolin, pokrytych mglistem morzem lasów, cyfrowanych srebrnym gadzikiem rzek.

Nieraz strach ją nagły zmroził do kości, bo usłyszała blisko i wyraźnie głos jakiś, szept mocny, stąpania niewidzialnych stóp po białem usypisku. Wiedziała wtedy napewno, że cości żyje i dysze wkoło niej, dzieją się sprawy jakoweś, któż wie, złe czyli dobre, — może straszne nad wyraz... — Lęk pętał jej nogi, oczy patrzyły z przerażeniem w cień pod skałami, w czarną kosówkę i zakręt perci za dużą wantą, gdzie tuż, tuż miało się coś wychylić...

Potem pchać ją poczynało naprzeciw onemu strachowi, nieprzytomną z zapatrzenia, niepomną na to, że ją nadchodząca mraka opaść może na nieznanem miejscu, zawieść gdzie na urwisko, lebo w lasy, po których przechadza się groźny niedźwiedź i groźniejszy od onego ryś o świecących ślepiach.

— Śmierzć... — szepcą nagle zbielałe wargi. I wówczas zawraca ku przełęczy, drze się z zapartym tchem po upłazie, zimnym oblana znojem... Wracał jej spokój wówczas dopiero, gdy po drugiej już stronie zstępowała w cichą, znajomą halę, szeroką a zatulną taksamo jak ciasna, rodzona izba, jak te, widne w dole, cisawe szałasy.

Słońce jarzyło się jeszcze na wierchach, ale nizkie pastwiska leżały już oddawna w cieniu. Wiatry spały i żaden żywy stwór się nie ozwał. Po nieruchomem powietrzu szedł huk nieustanny, głos, do którego dusza wychyla się z ciała w zasłuchaniu...

Bo w takiej cichej chwili słychać, przysiągłbyś, jak bije serce ziemi, jak się w jej żyłach krystaliczna przelewa krew, jak od zimnych szczytów oddech leci żywy...

Może to z dalekich jezior lecą siklawe wody, może to pomiędzy przełączki wiatry się wiją senne i sypią po piargach drobny kamień, może to szumi bór w głębokiej roztoce...

Wszystko to — i jeszcze nie to. Przyrodzone i zrozumiałe, cudowne i nieogarnione. Znane tak dobrze i nieznane wcale, — przeżyte tyle razy a niedowidziane, a niedosłyszane nigdy, — pamiętane niezawodnie a zawsze obce...

— Kogoz sie bacy, nie tyk co sie ik widziało?

Oczy wypatrują i zda się, już, już za chwilę dojrzą... Cości jest w pobliżu, cości patrzy na cię, coś cię otacza, jeno że niewidne...

— Ozewryjcie się ocy moje, ukazcie mi świat ino raz, ino raz! — modli się Jewka. Budzi się w niej przypomnienie słyszanych dawno opowieści, wiele rzeczy naonczas niepojmowanych, odczuwa dziś wyraźnie. Bo i cóż, że zasłyszawszy ongi jako gadają inni ludzie, przemyśliwała nad tem nieraz, czy te

prawdy, których ją uczyła dziwna piastunka, nie są li tylko cudownemi bajdami? Bo i cóż, że się jej oczy, na wzór innych ludzkich oczu stworzone, dziwowały cudowi owej pamiętnej nocy? Czy się to poniektóry człek i światu całemu nie dziwuje, nie dlatego, żeby był niemądry, a zaś drugi nie dziwuje się niczemu, choć nie dlatego, żeby był jak bydlę, które nie myśli nic i nic nie rozumie, a wie i widzi wszystko?

Jestże do przebrnięcia zapora pomiędzy rozumną niewiedzą ludzką a onym wszystko wiedzącym bezrozumem? Kędy jest jaki drogowskaz, kędy jest jaki znak, jakie zaklęcie?

— Ftoz béła ona i ftoz bél on? O krzesna moja, krzesna, cegojeście mie takich jakichsi cudów ucyli, a ludzkiéj prawdzie nie dali wierzyć? Obcy mi teraz świat, a do hań onego wrota zaparte. Cego-jeście odeśli prec i wzieni ze sobom kluc? Kany jest jaki znak, kany jest? — mówiła, łamiąc ręce.

Jeszcze nie zagasł nieboskłon po zachodzie, kiedy nad nizkiemi lasami błysło nagle światełko małe i wezbrało niby watra dalekiej sobótki. Za chwilę wytoczył się z niej księżyc, przemknął poprzez pasma chmurek nad nieboskłonem i płynął wartko ku iskrzącym się w górze gwiazdom.

W uśpionych koszarach przestały już pozbyrkiwać dzwonki, juhasy, co po udoju zaszły do bacówki na żentycę, grzały się tam jeszcze przy watrze, bo noc była chłodna mocno. Baca przebierał ckliwie na dudach, dobywszy ich ze starej cuchy, w której leżały skryte przed wilgocią. Poczerniały już te gajdy od wielkiej starości, kozia głowa świeciła im się fajnie jak lakier, a dudy pożłobiły głęboko palce milionskich grajków. U wsiaków, ani nikt słuchać już nie żądał koziego wora, a tu, kiedy buczeć począł i piskać, gotówbyś zabaczyć jadła i noclegu.



Sadowili się naokół watry i patrzeli w nią nieruchomi, z fajkami w zębach. Jewka usiadła na progu w uchylonych dźwirzach, i słuchając Maćkowych nut, błądziła wzrokiem po hali.

Na wzgórzach okolicznych uwyraźniały się tam i sam załomy, grzędy, bule, źlebiki, ale wszystko jakieś niby zaokrąglone i łagodniejsze niż za dnia; traciły się też odległości, cała widna okolica jakby się pomniejszyła i zatonęła w zielonej, miękkiej poświacie. Trawiaste zbocza, we dnie twarde i ostrą skałą zarzucone, nęciły dziwną przytulnością. Lógłbyś se tam na nich i mimo zimna nocnego, leżał, pozierając na płynący miesiąc i mrugające gwiazdy. Albo byś poszedł halą przed się, wniknął w noc i rozwiał się w miesięcznej pomgle.

Ciągnie taka noc człeka nieinaczej, jako ciągnąć muszą zamirknionych po młakach chłopów topielice, gotujące im zimne, miękkie łoża w podwodnej zieleni.

Ale kiedy miesiąc za turnię się jaką zasunie, to na halę, zalaną upiornem światłem, tak czarny cień w tem miejscu legnie, że myślałbyś, żywego co legło, bo się nawet i sunie powoli ku tobie. Strach przejść przez taką zaporę, a gdy się przecież ważysz w mrok wstąpić, a jeszcze cię w tej chwili owionie nagle dech ciepły i wyraźny pogwar gdzieś, bardzo daleko lecących siklaw, tak ci się zda, jakbyś postawił krok w jakieś nieznane, straszne, państwo... Mrowie cię obleci, będziesz szedł spiesznie, stuliwszy uszy, niepewny, czy za chwilę jakaś ciężka ręka na ramieniu ci nie zaważy.

W takie czarne miejsce, w którem traciła się perć, wiodąca od hali ku dolinom, patrzyła właśnie Jewka. Oderwał się od niego cień jakiś i zbliżał zwolna ku szałasowi.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

O „POSTACI OD WIRCHU“, O TEM JAKO SIĘ NIEBOSZCZYKOWIE BILI I O KSIĘDZOWEJ KOSTUSI.

Nie był to żaden z tutejszych chłopców, bo któryż by się o tej porze cudacznie włóczył po hali, przystając co chwila z kufą do miesiąca obróconą?

— Coz to? Dyć-by się juhas nie puscoł na wander po takim ziąbie w gaciak ino i kosuli... — Bo widziała teraz wyraźnie coś biało odzianego, sunącego bezgłośnie po trawie. Kiedy się wreszcie zatrzymało i stało długi czas nieruchomo, niepokój ogarnął Jewkę. — Duh, strah, lebo co... — pomyślała. Czekała aby się przecie odezwało; nie dostrzegając twarzy, czuła nieznośnie wzrok uparcie w siebie utkwiony.

We wnętrzu szałasu umilkła kobza. Juhasy siedziały tam zadumane, jakby rozważając mądre jakieś słowo, wyrzeczone przed chwilą. Dreszczem ją przejęła ta nagła cisza, szumiąca, żywa, górska cisza. Usiłując nadać głosowi pozór spokoju, rzekła głośno i niby żartobliwie:

— Selki duh Boga hwoli! Kogoz to tu zimnom nockom do nas wiedzie?

Biała zjawa kiwnęła się na te słowa. Równocześnie zami-

gotała za plecami Jewki watra i w nizkie dźwirze schylił się juhas.

— Hę? — spytał — Kany kogo prziwiedło?

Wskazała ręką, pewna, że gdy tam krok postąpi, widmo zcześnie i przepadnie. Zapytał podniesionym głosem:

— Ftoz to?

Milczenie. Jewka podniosła się, spojrzeli sobie z juhasem w oczy.

— Postać od hali... — szepnęła.

Drugi i trzeci juhas wychylił się ciekawie z szałasu. Posłyszawszy tajemnicze słowa dziewki, zaśmieli się hałaśliwie, jako że chłop w gromadzie niema boja, choćby przed upiorem. Nie śmiał się tylko Franek zwany Zagoniacem. Postąpił ku widmu i wygłosił:

— Pojdze ku nam, postaci!

— Zara jej nie bedzie! — pomyślała Jewka. Lecz widmo, miasto zniknąć, ruszyło z miejsca ku idącemu. Za chwilę doleciał śmiech Frankowy i słowa:

— Dyze to Głowoc! Chybajze w sałas, bo ci w tyk gaciskach rzyć na nic uziąbnie!

— Chybaj, chybaj Głowocu, na zintyce!

Wypełzła wreszcie z mroku rzekoma „postać od hali“, o twarzy rozradowanej życzliwem przyjęciem, gębie otwartej w łakomym uśmiechu.

— Na zintyce...? — spytał przeciągle.

— Haj, boś głodny, jako zawse!

Zawracano do wnętrza. Przepuszczając juhasów, oglądała Jewka zblizka osobliwego gościa. Już kiedyś, dawniejszemi czasy zasłyszała coś o nim między juhasami. Pierwszy to raz jednak zdarzyło jej się ujrzeć tego pokracznego, tajemniczego stwora. Głupkowaty jego uśmiech mówił dość wyraźnie, że

w tej ogromnej głowie niewiele, a może i nic rozumu; tembardziej zdumiała się, gdy stanąwszy w progu, spojrzał jej w oczy poważnie i pokiwał głową...

Niemrawiec siedział przy watrze popijając żentycy z czerpaka, a Franek opowiadał o nim Jewce szeptem:

— Zachodzi, posiedzi hwile, dziwne bajdy onacy, a nieraz po całych dniach ciho siedzi, ino sie głupio śmieje. Jesce zaś dziwniéj, kie go na długo wyzenie ka w góre, ku stawu i wysej, ku turniom, bo sie hań spina a wandruje se, Bóg jeden wié za cém i poco... Bóg téz jeden wié z cego hań zyje.

Naśmiano się dość z Jewczynego strachu, ale ten i ów usprawiedliwiał ją, wspominając niejedną chwilę, w której i jemu nieswojo bywało. Franek Zagoniac zaklinał się, że widział na żywe oczy szare widmo „postaci od wirchu", i że dlatego niepokój Jewki w pierwszej chwili i jemu się udzielił.

— Na moj dusiu, — mówił do kpiarzy — nie trząs byś tak brzuhem, kiebyś po ćmoku uwidział takie!

— Juzbyk je tam pomacał kany potrza! — przechwalał się inny.

— Pyskuj, pyskuj w sałasie, przi watrze, a w towarzistwie! Wiera, pomacałbyś ty je kieby wlazło na cie, wielgie jako turnia, a ty w niego kieby w gme! Ftoz ta wié, złe to, cy dobre cosi...

Poważny głos Frankowy uciszył kpiarzy. Nikt się też już nie śmiał, kiedy Maciek ze Zębu opowiadać jął o tem, jako przed latami spotkał był pod Kotelnicą zmarłych dawno ojca i stryja, co się byli za życia wzajem za łby wodzili.

— Haj raty, bili sie tyz, bili! Ludzie na świecie! Stryk nieboscyk (tén béł wej bliséj przi mnie i poznałek go wprzódzi), ino sie rencami zastawiał a rzyciom, a doklinoł! Jaze brzyćko béło słuhoć! A ty taki, ty owaki, ty corci synu, ty psubracie!

Mój rodzony stali wysej na grzendzie i prali skalami co cud! Jale coz kie chojbyk béł przisiąg ze go trafiéł i nieraz, skole leciały bez niego jako piasek bez krate; furcoły przi mnie a suły sie po piargu jaze zgrzipiało, a smród seł od krzesanyk iskier, kieby od siarki!

Ukazał wielką, zabliźnioną szramę nad prawem uchem.

— Raty! Kie mie tu gruchło, myślałek, ze dusa se mnie wyskocy a prać pocnie, jako oni! Inok krziknon na rodzonego; Zmiłujcie się nieboscyk! Dyze to ja, stary Maciek ze Zębu, syn was! Mary przepadły, a mie zamrocyło i lezołek hań, pokiel mie pastuchy od Pięcistawów nie nasły!

Chociaż ich w ciągu opowiadania Maćkowego śmiech miejscami podrywał, milczeli przejęci słowami starego, poważnego bacy. W ciszy słychać jeno było trzask żaru i mlaskanie Niemrawcowej gęby.

— Dałek pote na mse, to sie ta moze już i nieboscykowie pogodzili. Bok ik téz juz nie widzioł pote nikie, ani nik inny... — dokończył baca opowiadania.

— Ej som rzecy, som na świecie... — westchnął Franek.

— Ej som, som... — powtarzali. Potem zabrał głos Michalik.

— Ja ta nikie nie widzioł takik rzecy, jale kie juz o msy mowa, to i ja wam cosi powiem. A to mi mówił mój brat starsy, co we świecie siedzi, jaze kańsi na Rusi, a klon sie na duse nieśmiertelnom, jako mu sie ksiendzowa śmierzć objawiła.

— Jakoz to béło?

— Ano wej tak béło, wiécie. Mój starsy, człek bars nabozny, do kościoła zachodziéł co dnia. Razu jednego, jakosi to béło popołedniu w piontek powsedni, zachodzi jako se zawse. Kościół pusty prawie, dwie baby przi dźwirzach klencom. Takse i on kląk i Ocenas mówi. Jesce tyz nie doseł do pokusenia, kie od zakre-

styjej cichućko zazbyrkło i wychodzi Jegomoś w ornacie a przi nim chłopiątko do msy... Ki sto djasi? myśli se mój starsy, jescek téz nie widzioł msy w powsedni piontek popołedniu! Poźrał ku babom, ano widzi, cysto piéknie pokulone ziem świentom bośkajom, nie dziwiom sie. Sunie sie ta na klenckach do ołtarza, bo człek wiécie nabozny, mój starsy. Ano nic. Ksiondz sie ta kręci, odprawuje swoje, hłopiątko się zwyrta, ino tak cichućko robiom, co cud! Nie słyhoć, coby se przigwarzali, jako to sie ta przy oném przigwarzuje: sekula i kum spirytus i jakosi tam jesce, ino kie sie Jegomoś nachyli a w piersi bije, kołace cosi, jak kiebyś se na snurecek kościanyk śkaplerzyków ponawisował. Cosi go zdjeno, mojego starsego, ze sie i modlić nimóg, i chojta człek bars nabozny wiécie, mój starsy paciérza zabacył, ino patrzi a patrzi. Jaze sie tu ksiondz wiécie po swojemu zwyrta na Dominus... Jezus Maryjo! Zamgliło go téz, mojego starsego, zamgliło!

— Zje coze uwidział? — zapytał z przejęciem Franek z uczepioną u ramienia Jewką. Michalik powiódł tajemniczym wzrokiem po zgromadzeniu i rzekł szeptem:

— Kostusie!

— Mes odprawowała?! — zawołali w najwyższem zdumieniu.

— Ba jako?! Ksiendzowskie ornaty wisioły na gołyk kościak a głowa trupia, kie zembiskami kłapnie na ten Dominus! Raty na świecie! Ratujcie Świenci Pańscy i Ty Boze! Jezus Maryjo, Józefie świenty! Ozdarł sie ino i bech na ziem! Baby go opadły hnetki. Dźwignon sie, jale juz nie bélo przi ołtarzu nikogo.

— Widziałyście? — pyta. — Co? — Jegomościa przi msy? Przezegnały sie. — W imie Oca i Syna i Duha świentego amen! Co sie wam śni? Jegomoś na plebanijej, a msa rano o piontéj!

Jale mojego starsego wiécie, nie bélo zbyć byle cém. Cisnon

baby, i chybaj do zakrestyjej! Chycił dzioda za brzode, co tam siedzioł. — Kany Jegomoś?! Widziałeś go, dziadu? — Ozdar sie dziod wielgim głosem, przisięgował ze nikogo nie widział. Tak mój starsy wiécie, snurkiem na plebanijom pognał, jale Jegomoś béł chory i nie puścili go doń. Chorzał ze se tak trzi dni — w niedziele, lemze świt, pomer...

Milczenie zaległo. Znów Franek ciężko westchnął.

— Oj som rzecy na świecie, som...

Po chwili ozwała się cicho Jewka:

— Powiem i ja cosi, jale to téz nie śpas i nie bajda, ino zywa prawda, co jom ocy moje widziały. Powiem, i na zbawienie dusy przisięgam świentom prawde!

Poruszyli się, zadziwieni tym uroczystym wstępem. Baca rzekł poważnie:

— Nik tu bajdów nie onacy. Fto nie wierzy, głupi.

— Zdrowak béła na ciele i dusy, kiek go widziała.

— Kogo?

— Widziałak... śmierzć.

— Kostusie?

— Wiédno nie zawse śmierzć gołémi kośćiami zwoni... To-to béł chłop, mocarny, jako turnia. Gwarził do mnie a ja doń, co i Wojtek Jarząbków prziświadcy. I ja téz myślała ze to człek a ino taki, jakiegok w zyciu drugiego nie potkała. Jale, kie jek pote uwidziała, jak z dusom mojéj krzesnéj z chałupy wyseł a ponad regiel skocył... raty! — krzyknęła zakrywając twarz.

Dopytywać jęli ciekawie, tem ciekawiej, że wszyscy zasłyszeli byli o płanietnickiej sławie nieboszczki Leśnej, więc byli gotowi najdziwniejszym rzeczom dać wiarę. Powoli opowiedziała Jewka od początku wszystko co widziała owej pamiętnej nocy. Nie przerywali jej, dopiero gdy skończyła i west-

chnęła, ulżywszy sobie podzieleniem się z innemi tą tajemnicą, zdumione juhasy gadać jęły jeden przez drugiego:

— Dyze nam Głowac samotak Halnego opisywał, jako ty te twojom śmierzć! Gadajze Głowacu, nieprawda? Wielgi jako smrek, garbaty nos, kudły corne, pas zbójnicki a w garzci rąbanica, corne skrzidła kieby u gacka... Gadajze Głowacu! Nie samten to béł?

— Skocył ponad regiel, pados? Ej raty, kieby ja to béł widział!

— Nie śmierzć to béła, nie śmierzć! Widział kie fto śmierzć w opasku chadzać? I z rąbanicom?

— Padajom ponieftorzy ze kose nosuje, a co niom machnie, jedno zycie ludzkie skosi...

— Jale toto béł Halny a nie co inse! Płanietnickie sprawy wej ze sobom mieli! Cegoześ go nie pytała, kie do cie gadoł?

— Bała sie! Cego sie béło bać? Hłopa? Dy ci przecie dziéwka nie béła sama, ba z Jarząbkem. Ja by sie ta nie béł bał!

— Juzbyś sie i ty béł troske przibobował! Nie bój sie!

— E ta troske moze, jale nie duzo...

— Ftoz béła niebozycka Leśna?

Poglądali to na Jewkę, to na Niemrawca, czekali odpowiedzi.

— Haj, zeby ja to wiedziała... — westchnęła dziewka.

— Głowac! Musis ta przecie wiedzieć!

Zdumiona patrzała Jewka na Niemrawca. W głowie huczało jej wciąż posłyszane miano, miano które, przypomina sobie teraz, padło owego wieczora z ust Leśnej...

— Halny...

Ale Głowac miał widocznie swoją niemrawą chwilę. Ożłopawszy się żentycy, siedział i rozdzierał gębę zadowolonym uśmiechem.

— Dobra zintyca, krupiasta, smocna... — mamlał, pociągając nosem.

Chciała go pytać sama, wzruszona, niecierpliwa. Lecz onieśmielenie mowę jej odebrało. Oczy Niemrawcowe nie śmiały się; zdawało się Jewce, że ją przenikają nawskróś, wświdrowują się w jej mózg i kłują boleśnie. Spuściła wzrok ku ziemi i siedziała bez słowa i ruchu, nie słysząc co tam inni jeszcze gwarzyli, jak się żegnali i rozchodzili powoli na noc.

— Halny...

Usiłowała sobie przypomnieć dokładnie każdy szczegół rozmowy jego z Leśną... Tak, wie teraz napewno, że to miano padło wtedy... Nie zastanowiła się tylko nad tem, że to może być nie jakieś sobie tam takie miano, jeno właśnie... Jezus Maryja... On sam, Halny, król wszystkich górskich mocy!

Teraz rozumie owo przywitanie, ową boską cześć oddaną nieznajomemu przez jej chrzestną matkę. Pamięta, jakby się to przed chwilą stało: siwa głowa pochylona do stóp gościa i zdławione łkanie: Halny... Halny...

Zupełna cisza zbudziła ją z zadumy. Po szałasie migały słabe błyski od tlejącego ogniska. W błyskach tych widać było kilka postaci skurczonych pod cuszkami. Przy samej watrze leżał baca wyciągnięty nawznak, a tuż obok niego bielało kudłate cielsko luptowskiego owczarka. W powietrzu głosiły się, wzmagały, przycichały, krzyżowały oddechy i pochrapywania śpiących.

Przeciągała się sennym ruchem i nagle wzrok jej padł w mroczny kąt szałasu. Głowac nie spał, z ciemności patrzało na nią dwoje kocich, świecących oczu. Krzyknęła, zdjęta obłędnym strachem.

Z juhasów nie przebudził się żaden, spali twardo młodym,

zdrowym snem. Ale stary Maciek uniósł się wpół, dojrzał mądrem okiem przerażoną dziewkę i odgadł przyczynę jej lęku.

— Świécom ci się sie ślepia kieby rysiowi — rzekł do Głowaca. — Idze pocwaro na nocnik do Frankowego sałasiku. Jesce sie dziéwka zapatrzy na cie, a to wiés, niedobrze. Zawse dziéwka dziéwkom, a tyś przecie nie taki głupi, cobyś tego nie rozumiał. A zaś ty, nie krzic, ino ląz!

To rzekłszy naciągnął cuszkę pod szyję i ułożył się z powrotem do snu. Niemrawiec wstał bez słowa i wysunął się na pole. Jewka zaś legła obok starego i jego psa.

Leżała zamknąwszy oczy, ale sen nie imał się jej powiek. Czarną nocą, pośród chrapań śpiących, pośród rzadkich zberkań owiec w koszarze, niósł się ku niej nad wszystkie odgłosy mocniejszy, nie senny, lecz czujny i gorący dech... Nieraz wzdrygnął nią raptowny lęk: zdawało jej się, że wisi nad nią potworny, wielki łeb o świecących oczach...

— Matko Boska, broń ode złego...

Na tych słowach powtarzanych bez końca, zastał ją siny świt, przezierający przez szpary nędznego szałasu.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

W KTÓRYM PO RAZ WTÓRY WIDZIMY HALNEGO.

Dawno, prawdziwie dawno, bo więcej jak dwa tysiące lat temu, przydarzyła się jednej góralskiej dziewce, a ponoś córce samego króla karpackiego, iż wydała niespodziewanie na świat płód nieludzkiej urody. Pół niedochłopięcia, pół niedojaszczura, a razem szczenię jakieś djabelskie i niesamowite... Widok jego omal że o śmierć nie przyprawił nieszczęsnej maci. Nie było też nijakich biadań, kiedy gniewny dziad przykazał pachołowi wynieść kryjomo potworne wnuczę w jaknajodleglejszy ostęp górski i niechać je tam, na żer dzikim bestyom. Żadnym sposobem nie mógł on dobyć od córki imienia sprawcy tej hańby nad hańbami. Może go i sama prawdziwie nie znała...

A choćby i znała, niewiadomo czy skorą byłaby wyznać, iż w samotnych wałęsach jej za ojcowskim kierdelem przyparł ją jednego dnia na otwartej cyrhli zimny Buryjas, wicher, co się tu zapędzał od dalekich, północnych ziem. Niewiadomo czy rzekła by prawdę, że odtąd ulegała mu nie raz i nie dwa, ba co ino trochę wybiegając na wyniosłe pagóry, aby ją dopadał, przewiewał wskróś i tarmosił...

Rzucony o wiele mil od siedzib ludzkich Buryjasowy syn, nie zczezł, jakby było zczezło zwykłe niemowlę. Lulał go sam

rodzic, kąpała ciotka Psota, karmiły górskie stwory. Pod ojcowskiem też okiem dorósł i wprawiony został do samowładnego królowania znaczonego mu od Boga.

Jest kędyś we Wołoszynie sroga turnia o ścianie skrzesanej, w której czas wydrążył pieczarę niedostępną ludzkim oczom ni nogom. Na tej turni, nad głucho szumiącą Roztoką, obrał sobie siedzibę Halny. Tu mijały mu wieki, latami dlań ledwie będące, na spełnianiu swego posłannictwa, objawianiu boskiej mocy wszelakiej górskiej żywinie i martwiźnie, i uczeniu ich bożej bojaźni.

Siedział właśnie na turni, zwieszony nad przepaścią i wodził wzrokiem po wielkiem swem państwie, najeżonem wierchami, drążonem w puste kotliny patrzące źrenicami stawów, żłobionem w doliny i roztoki leśne, znaczonem nićmi potoków, powykrawanem w zielone polany i hale, na których bystre jego oczy dopatrywały życie ludzkie. Siedział — a myślał o wieści północnej, odebranej niedawno.

Mówiła mu ona o rychłem przybyciu zimnego rodzica w doroczną, długą gościnę, w czas której oddawał mu Halny wszystkie swe ziemie na kwatery. Poczynało wtedy hulać po nich liczne towarzystwo Buryjasowe, przybyłe dworem za siwym swoim panem od bieguna. Hulało setnie, rade z odmiany. Waliły więc kurniawy jedna za drugą, każda ciągnąc chmurę olbrzymią na ścielenie zimowych leży. Dzikie fujawice rzucały się z gwizdem i świstem na lecące pierze, miotły niem zawzięcie po powietrzu i prały, wciskając we wszystkie szczeliny. Mróz legał na stokach, uklepywał na nich spadły i nawiany śnieg. Kędy nie zdołał śniegu utrzymać, oskorupiał skałę szkliwem, stroił w niebieskie i zielone grube wisiory, aby mu się piękniej błyszczała do słońca. Potem jął obiegać jeziora, skrzepiał oddechem naskórek i ślizgał się po nim, póki nie stężał na ka

mień. Wnet go kurniawy zasuły z grubych chmur, a później dujawice powynosiły tam urwiste kopce i powydrążały leje, że i ślad po jeziorze nie ostał. Kiedy już chmur nie starczyło, mróz wpełzał w czarne żleby i podcienia przewieszonych ścian i nawisów, przyczajał się, patrząc jak słońce wyiskrza jego robotę. Skoro puchy małoco odkrzepły, wysuwał z kryjówki złośliwą nogę i kopnięciem puszczał lawinę, od której hyr szedł setny po wszystkich załomach doliny. Pięknie zabawiała się zimowa kompanija, póki nie jęła znęcać się nad żywym stworem. Mądrzejszy zawczasu przed nią uchodził i krył się; świstak wpełzał w jamy, zaopatrzał szczeliny i zwinięty w kłębek spał, grzejąc się własnem sadłem; niedźwiedź nażarty na czas długi, zapadał z pierwszym śniegiem w niezbadany ostęp i znudzony drzemał; człek redykał ze statkiem w niziny, ku ciepłym chałupom i stajniom. Tylko głupie kozy górskie i leśne sarny ostawały na pastwę złośliwemu bractwu. Nierad widział Halny jak mu zwierzynę nękają głód i zimno, jak daremnie szuka zasypanych traw, daremnie mozoli się szczypać zlodowaciałe mchy, jak rozpaczliwie bierze się do twardej kory drzewnej, opada z sił i grzęźnie z łbami w śmiertelnej śnieżnej topieli. Nieraz się Halny porywał na przekór onym figlom. Przedrączał się ze swymi rozigranymi gośćmi, podchodził mroza i zdmuchiwał go niespodziewanie precz, by na chwilę, odmiatał i topił śniegi, radził sobie i swoim ile sił, boć przeznaczenia nie było mu odmienić.

I dziś, wieść z północy odebrawszy, uchwalał sobie tak:

— Coby sie miłosierdziu boskiemu zadoś stało, coby sie na to stworzenie biédne nie zwaliła zima niespodzianie, nima co, ino trza conawarcej powiadomić kogo sie patrzi!

Tymczasem opodal niego zabawiały się po dziecinnemu trzy pokraczne stworki, nieudałe płody góralskich dziewek, zrodzo-

ne w trwodze i niewoli. Odpadały od turni, trzepotały się na czarnych błonach jak nietoperze, przysiadały na skalnych półeczkach. Nie bawiły Halnego te figle. Innych on sobie wymarzył następców i ściskało mu się serce.

— Oj pokarał mie téz Pambuk, pokarał za grzychy moje!

A kiedy nagle dwóch z nich zczepiło się z sobą w zażartej bójce, a trzeci zarechotał śmiechem, porwał się stary i huknął gromko:

— Do dziury niemrawce i stulić pyski!

Nie usłyszały pono, bo bójka nie ustawała. Przyskoczył do nich, za karki dopadł. Odwinąwszy się, cisnął precz jednym, aże furcząc poleciał powietrzem, a nie ostał się pewnie, aże gdzieś na Hrubej Grani albo może na Krywaniu; drugi, w dół strącony, fyrknął koziołkując ku Roztoce, gdzie go rozczapierzone skrzydła nad samym lasem zatrzymały. Zwrócił się Halny ku trzeciemu:

— Pokarał mie téz Pambuk wami, niemrawce zatracone! Trzista wam roków mija a głupieście, głupie! Cego sie śmiejes smarku?

Zasromany Duk spuścił oczy i skóra na nim ścierpła. Ale już go stary nie tykał, rzucił jeno szorstko, wchodząc do pieczary:

— Bier sie du drogi w Osobitom!

Kiedy w kilka pacierzy wyszedł, małe, co się były za ten czas popowracały, pierzchły jak spłoszone ptactwo.

Skinął Halny na Duka, który też natychmiast posłusznie frunął przed nim, wzbijając się ku chmurom. Halny lógł na powietrzu i śmignął nad grań.

Lecieli wartko z furkotem napiętych błon, skłębiając smużyste chmury wiszące wysoko nad zębatym, skalnym murem. Zakotłowały się, roztargały w małe obłoczki.

Dwa niemrawce leciały za ojcem, ale niemogąc nadążyć, przystawały po wierchach, wreszcie się całkiem zatraciły. Jęły psocić po graniach, dmuchając w przełączki, spuszczając żlebami co drobniejszą skałę, goniąc się z chichotem pomiędzy turnie.

Dmuchnął Halny w Gąsienicową halę, zadął nad Liliowem, już też Duk ku dołowi opadł i dalejże szuściec skoruszą i borówkami w Goryczkowej, Małołące, Kościeliskiej, Chochołowskiej. Minęli Jamburowy, uniżyli się obaj, przypadli piersią na mchy w Zuberskiej dolinie... Wionął dech zziajany po roztoce, rozhuśtały się szczyty drzew. Zaszumiał witając ich strwożony las, zajęczały zcicha szczeliny skalne.

Haj raty, haj raty!

Posłyszał nowinę Wicher Zachodni, Orawiec bezdzietny, u którego najmłodszy z Halnego bękartów na terminie siedział. Podniósł się od Osobitej, gdzie miał swoją stolicę i uchylił czarnego kapelusza o dużych, odwiniętych skrzelach.

— Dobre rano, miélostiwy gazda! A co som powitie?

Posłyszała też stara Psota, wychyliła wiecznie zapłakane oblicze z leśnej groty i załkała radośnie:

— Witojze, witoj! Ej, ukotwiło mi sie téz, ukotwiło! Od dwok miesiency świata nie widzem! Nie wiés ta co o moim bracie Burym Jasiu?

Zaśmiał się Halny.

— Witojcie cioto, witojcie Orawski!

— Coz ta powiés, co?

— Idem wam pedzieć, ze do zimy nie prec! Gotujcie sie na gości. Patrzajcie cioto, kie wam Orawski hmurzisków ponaspędzowuje! Jak se ta beecie fcieli ku dolinom zeńść, zimie naproci, mie ta nic do tego.

— Hfałoz Bogu, hfało! Skuńcyła sie moja niewola, skuń-

cyła! Ej bo mi sie tyz ukotwiło, ukotwiło! Pohulam se jesce, zakiela mie zimowa śpiączka nie hyci, pohulam!

Orawski, w warkoczyki plecione włosy gładził i zęby szczerzył.

— Oj, na moju prawdu, pohulam!

— Ostańcie z Bogem, w droge mi trza!

— Boze cie prowadź, Boze cie prowadź...

— Z Bohem, bratie luby!

Halny porwał się i zwołał Duka, który za ten czas, zwąchawszy się z terminatorem Orawskiego, po lesie figlowali. Wzbili się wnet nad Wołowcem, lecąc ku Niefcyrce, kędy jest siedziba Starego Niedźwiedzia, co tatrzańskiemu zwierzowi przewodzi.

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

W KTÓRYM OWCE Z HALI REDYKAJĄ A JEWKĘ PRZEŚLADUJE MYŚL O GŁOWACU.

Nie trzeba było wichrów ani słoty, aby juhasów z hali pospędzać. Spędzało ich już rosnące zimno, które się nocką dobrze we znaki dawało. Pasza też płona już była, wyskubana przez owce, wyschnięta w letnich skwarach, mrożona zimnemi nocami. Krowy i jarki, czułe na zimno, delikatnej i soczystej strawy potrzebujące, oddawna już pognano w doliny, na jesieniska. Baca pociągał nosem, pozierał ku niebu i mówił:

— Jesień idzie, zima idzie. Nocka mroźna, teraz zaś zaduło kieby z ciepłego pieca. Trawy rosy niewidzom. Poleje sie z nieba woda, poleje.

Kończono ostatnie roboty. Juhasi nawóz po koszarze zbierali w szałasy, ładowali sprzęt, obońki, gielety, parzenice. Ruszyli wysłańcy, prowadząc obarczonego konika.

Z górskich kotlin wypadały pląsając jesienne wiatry, a jednego dnia pół nieba zaoblokły śniegowe baranki.

— Niebieski kierdel du domu redyka. Cas na nas.

Z sercem ściśniętem żałośnie pędziła Jewka ostatnie dni na hali. Nietylko myśl o rychłym powrocie do szarego, dólskiego zycia ją truła; spokój jej skończył się owego wieczora, kiedy

to zaszedł do szałasów pokraczny sietniak. Pytała oń juhasów, prawili jej bajdy osobliwe zasłyszane z jego ust a takie podobne tym, których uczyła jej niegdyś chrzestna matka... Wszystko świadczyło o tem, że świadom był tajemnic, które ona daremnie starała się przeniknąć. Ciągnęła ją ku niemu nieprzeparta ciekawość, ale zarazem odpychał lęk niesamowity od brzydoty wielkiego łba, przed wzrokiem prześladującym ją ciągle, na jawie i we śnie. Od owego pierwszego wieczoru nie widziała go już więcej zblizka. Unikał ludzi, nie gadał z nikim, siadywał zdaleka, wreszcie zniknął. Myślano że sobie poszedł precz. A Jewce, chodzącej za owcami po uboczy, zdawało się wciąż, że ją ścigają świecące, kocie oczy. Pewnego dnia odwróciwszy się nagle, zobaczyła go jak stał opodal za kosówką i patrzał na nią. Od tej chwili zdarzało się to często, a za każdym razem zimne mrowie po krzyżu jej biegało.

— Cegoj fce odemnie ta pocwara? Niegby prziseł, pedzioł co...

Tak myślała, czując jednak dobrze, że gdyby Głowac zechciał się zbliżyć, poniosłyby ją nogi ze strachu.

— Nic, ino-jek sie zapatrziła w te brzyde...

I tak, miasto sobie ulżyć podzieleniem się z innymi widzianą tajemnicą, przysporzyła biednemu sercu jeszcze więcej troski. Do widma czarnych źrenic tamtego, dołączyło się widmo kocich oczu Niemrawcowych. Gnębił ją wyrzut za zdradzenie innym tego, co jej przypadkiem dane było oglądać.

— Cozek zrobiéła, Boze mój? Dyć-jek przecie nie fcioła obrazy boskiej, a ino ulzyć sercu... Cozek temu winowata, ze mi Bóg podzwoliéł uźreć cud?

Zawołała to nieomal głośno, doprowadzona do rozpaczy, dojrzawszy znów raz Niemrawca, śledzącego ją z za dużej wanty. Zebrała wreszcie na odwagę i postanowiła pierwsza go

zaczepić. Ale już się nie był pokazał więcej, a nazajutrz ruszyć się miały owce ku dolinom.

Nie było danem bacy w sam raz utrafić dzień powrotu Miały juhasy jeszcze raz poczuć na swojej skórze zmienną dolę pasterską.

Nie wytrzymała piękna pogoda do chwili ich odejścia. Bo przed wieczorem wiatr się zerwał i zimnym tchem przewiał nędzne szałasy. Oblokło się też niebo całe brzydką szarością i słońce zgasło już niewidoczne za tą zasłoną. Kiedy ćma zapadła, siompić jęła mgła drobniutka i przejmująca. W nocy wiatr się wzmógł, a w rzadkich jego przerwach dolatywał od pola coraz głośniejszy szum rosnącej naremnicy. Wreszcie przez szczeliny dachu zaciurczały sznurki wody. Co jeno zadęło mocniej, a świszcząco, chlustały mokre łachy o ściany szałasu, pryskały pomiędzy szpary w belkach.

Pokuleni w zaciszniejszych kątach klęli po cichu, wyrzekając na psotę i oczekując niecierpliwie powrotu do domów. Drzemali, budzeni co chwila zimnem i wodą blużdżącą im niemiłosiernie we twarze.

Po północy dujawica zelżała nieco, zrzadka jeno wiuchając. Wśród czarnej nocy roznosił się niemilknący, rozpaczliwy szum deszczu.

Powitali z ulgą dzień, późny, wstający bez świtu.

Świat cały zasnuła szara mraka pachnąca mokrą ziemią i kosodrzewem, w której ledwie majaczyły bliższe szałasy. Pod ocapami stały bajory pluszczące od kropel lecących wartko z dachu. Wiatr wiał nie mocny lecz bezustanny, zacinający ukośnie drobną, zimną siekanicą.

Owce w koszarze zwiesiwszy łby, stały obmokłe, nieruchawe. Nie zberknął dzwonek, nie rozległo się beczenie. Kiedy je z koszaru goniono, szły leniwie, jakby im kożuchy namokły od

deszczu i ciężyły. Kierdel miał jeszcze ostać na hali do południa, gwoli paszy. Wyżeniono go na upłaz niedaleki i pilnowano, by się nadto nie rozłaził. Baca ruszył naprzód ku wsiom, przekazując Frankowi pieczę nad owcami; napominał go by się nie zapóźniał z odmarszem, raczej wcześniej ruszył, gdyby się zanosiło na gęstą mgłę.

Zatulona w grubą, ciężką od wilgoci cuszkę, wałęsała się Jewka przy kierdelu, a wraz z nią mały Józuś, Franków brat, i pies, który nie gorszym był od niego pastuchem. Franek przy szałasach jeszcze ostał, coś tam porządkował, na zimę ostawione tu sprzęty zabezpieczał przed śniegiem, wiatrem a i ludźmi.

Chyląc głowę przed siekanicą, chłoszczącą twarz nielitościwie, pozierała Jewka ku światu. Mraka rzedła nieco chwilami, odsłaniał się widoczny z upłazu ciemny, nizinny kraj, dalekie wsie, siedziby, do których niebawem zejść trzeba było na to dólskie, szare bytowanie.

— Ej wiera, nie wesoło sercu, ni...

Naszła ją myśl o Głowacu. Mówiło jej coś, że nie odszedł on stąd jeszcze, ale jak zazwyczaj wałęsa się gdzieś pewnie niedaleko i gdyby nie psota, widok co chwila zakrywająca, przysięgłaby, że znów spoziera na nią skądciś, ukryty za kosówką.

— Cemuzek go nie pytała wte, kie siedział przi mnie w sałasie? Dyze to nie moze być cłek zwycojny... Z cegoz by zył? Z powietrza? Tyle-jek sie casy namodliła o znak jaki, o widzenie, a teraz kie mi on niejedno moze pedzieć móg, odchodzić trza prec...

Odchodzić między ludzi, Jarząbków rozmaitych, na troski o gazdostwo, na umizgi parobków, może na twardą służbę po obcych domach... Niepokój gnał ją tam i sam po upłazie, dreptała niecierpliwie w miejscu, wreszcie wytrzymać dłużej nie mogąc, podeszła ku pastuchowi.

— Józuś, niewiés to kany wej ten Głowoc? Widziałak cosi we mgle, moze to on? Coze ta bida po takiéj psocie robi na hali? Huknijze Józuś, huknij noń!

Chłopczysko roześmiało się.

— A sietniocy ta pewnie jako wse... Co mi tam o to!

— Huknij-ze Józuś, huknij ze!

— A dy huknem, kie fces.

Wraził palec w gębę i świsnął przeraźliwie. Potem zakrzyknął:

— Iha! Głowocu! Chyboj ze haw!

Mgła stłumiła wołanie. Józuś ruszył ramionami.

— Coby zaś tu robiéł jesce? Pognało go juz dawno dołu.

— Pewnie... Przecie ci to ino sietniok a nic wiencyl... — myślała.

Koło południa przestało mżyć, lecz mgła nie ustępowała wcale, a nawet gęstniała z każdą chwilą. Niebawem nadszedł od szałasów Franek Zagoniac. Poczęto spędzać do kupy rozpierzchłe owce. Biały Luptak, świadomy dobrze celu dzisiejszej wyprawy, szczekał zawzięcie i obskakiwał stado, pełniąc służbę ze zdwojoną gorliwością. Wreszcie kierdel stłoczył się na perci i czekał. Franek wprawnem okiem poglądał po nim i zaklął nagle:

— Cy cie djasi! Kizeście po nijakiemu dawali pozór! Ozlazło się toto Bóg wié ftorędy! Dwok byrek braknie!

— Hę? — zdziwił się Józuś. — Braknie?

— Oździraj kufe, sufraganie, oździraj! Bees pote płacił swojom robote!

— Nońdom sie przecie — wtrąciła Jewka. — Ostaw mi Rozboja na hwile i odeńdź, nie prec, ino tak, cobyk nie słysała zbyrkania. Nimogom być daleko, zasłyse ik zbyrcenie i pognom, abo i pies...

— Sukoj Rozbój, sukoj!

Ale pies biegał jeno wkoło i wynurzał się z mgły bezskutecznie uganiając.

— Wech go w téj mrace odseł, cy co? — dziwił się Franek Nie mógł już dłużej zwlekać z odmarszem, bo mgła padała coraz gęstsza, a na dole baca czekał z gazdami na przybycie statku. Jął tedy stąpać, dawszy znak bratu. Za nim ruszył się kierdel z dźwiękiem zberkadeł, pobekiwaniem i cupotem nóg. Z tyłu, mały Józuś napędzając marudzące sztuki, śpiewał cieniutko na ozwodną nutę:

Ej owiecki zbercały kie se redykały,
Ej juhasicek płakoł, nozki go bolały!

Ej kie se przziredykom ode hali siumnie
Ej dajze mi dziewcyno, coś chowała lo mnie!

— Wiera to! — zadrwił Franek — Kija tam lo cie chowajom za te potracone owiecki! Icie go, jaki to juhas! Pierony cie jasne biły!

— Dy sie nońdom przecie, — odkrzykiwał wesoło Józuś — Jewka ś nimi hnetki nas dogna!

Franek też tak sądził po prawdzie, więc mu już więcej nie dopiekał.

Minęli szeroki upłaz i jęli się powoli spuszczać stromą percią pośród coraz bielszej, coraz gęstszej mgły.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY.

JAKO JEWKĘ ZŁE ZWIEDŁO.

Musiały one dwie sztuki dość daleko się zawieruszyć, albo może i dzwonków nie miały, bo Jewka napróżno wytężała słuch. Dolatywało ją jeszcze przez chwilę zbercenie oddalającego się kierdelu i hukanie Józkowe, potem zaległa cisza, w której słychać było jeno szum dalekich wodospadów. Postąpiła ku majaczącym we mgle kosówkom.

— Kanyz sie bestyje zapodziać mogły?

Jęła nawoływać, dając do zrozumienia psu trzymanemu za obrożę, o co się rozchodzi. Ale pies skuczał jeno niecierpliwie, wyrywając się za stadem.

— Moze sie Franek pomylił. Rozbój by przecie naloz.

Uszła kęs drogi, kierując się ku szałasom, a przystając co chwila. Parę razy zdawało jej się już, że we mgle coś ruchomego czernieje.

— Z pewnościom sie pomylił. Sukoć nie warce.

Okrążyła jeszcze szczyt upłazu i doszła do płytkiego żlebiku, gdzie wczoraj owce wyganiano.

— Nic i nic. Trza sie wrócić...

Tymczasem mgła zgęstniała i zbiła się wkrótce tak, że na parę kroków już dojrzeć nie było można.

— Nie stracem sie, od cego pies?

Rozbój przestał nagle skuczeć, a natomiast węszył zajadle. I w tej chwili, od góry i z bardzo daleka zaleciało zberkanie dzwonka. Raz i drugi.

— Przecie som! — zawołała ucieszona — Nie pomylił sie Franek! Zaśby sie pomylił taki juhas! — Puściła psa, zachęcając go okrzykiem: — Goń Rozbój, goń!

Pies puścił się pędem i zniknął we mgle. Stała nasłuchując, po długiej chwili dopiero, nie słysząc zberkania pędzonych sztuk, poczęła wołać:

— Rozbój! Rozbój!

Cisza. Huczy tylko głucho daleki wodospad, zaś mgła wokoło zdaje się syczeć ledwo słyszalnie...

— Rozbój!

Rozbój nie odzywał się, ale zato gdzieś przed nią niedaleko zazbercała nagle biegnąca truchtem owca.

— Tu Rozbój, tu! Moze je ma obie i rady se dać nimoze...

Zberkanie nie ustawało, nie stało się wszakże ani bliższe ani dalsze.

— Kanyz je gna, bestyja? Cy ku sałasom?

Puściła się w kierunku głosu ku górze, spiesząc, ile jej na to pozwalał gęsty tuman. Byrka wyraźnie oddalała się; gnała więc za nią, nawołując:

— Baź baź!

Nagle zberkadło ucichło, a po chwili ozwało się skąd inąd, dalsze jakieś i inne.

— To druga! Dobrze, Rozbój, dobrze!

Upewniona że mądry pies owce dognał i za kierdelem je popędzi, zawróciła, by zejść znów na perć, z której wedle swego obliczenia zboczyła w prawo i nieco ku górze.

— Widział fto takom mrake? Dy-ze ręki hnet nie doźre...

W istocie, wyciągnięte ramię wnikało już w mgłę jak w dym. Oczy też mrużyły się niby od dymu, a całe ciało odczuwało jakieś nieznośne spętanie. Choć przecie mgła ni oporem nie stała ni w oczy nie gryzła, Jewka szła z trudnością, pochyliwszy głowę, by nie patrzeć przed się napróżno. Szła i szła, a perci ani widu.

— Musiałak jom minąć, póde na posprzec.

Przystanęła. W powietrzu ponosił się lekki, nieustający syk, zresztą była cisza, cisza taka, jakby jej zatkano uszy, iże słyszy tylko głos własnej, krążącej krwi.

— Co bedzie, jak nie nońde drogi?

Ta myśl, napłynąwszy znienacka, przejęła ją takim lękiem, że bez zastanowienia, na chybi-trafi biedz poczęła po uboczy. Lecz gładki kierpiec skiełznął na mokrej trawie; wywróciła się wznak i zjechała kęs na dół. Wówczas ogarnął ją waryacki strach i krzyknęła przeraźliwym głosem:

— Franek!

A potem po głowie jej jęły się powtarzać szybko słowa: som jesce, cekajom, som nieprec, usłysom...

— Franek! — krzyknęła raz jeszcze; Boże, co to będzie, jeśli odpowie jej znów milczenie...?

Ale oto zdaleka, przygłuszone bardzo, doleciało ją jakieś wołanie... Jużci, musiał to być głos Frankowy...

Odetchnęła i z wybuchem radości odkrzyknęła wyraźnie:

— Ceeekoj! Idem ku wam!

Głos Frankowy dolatywał z góry. Wspięła się więc uboczą, podkpiwając z własnego dzieciństwa.

— Béło sie téz cego bać! Musiałak widno obnizyć sie popod Gronik. Cekajom na mnie na perci, a Rozbój z byrkami juz hań musi być. — Franek! — zakrzyknęła znów.

— Ho hooo! — odpowiedziało zdaleka.

— Coz tak prec? Telek sie dale unizyła? Jak to we mgle ani nie poznać dalekości!

Pięła się pospiesznie wiedząc, że Frankowi pilno, choć jej dech zaczynało zapierać. W jakiś czas posłyszała znowu wołanie, ale już z bardzo gdzieś daleka...

— Musiał juz odeńść z kierdelem, jale teraz kie wiém we wtorom strone, to i sama trafie!

Nie zastanawiała się już nad tem, że taki kęs do góry trzeba było odrobić, aby wrócić na drogę. Uspokajał ją zupełnie głos Frankowy.

Wreszcie pod stopami ukazała się kamienista perć.

— Hfałaz Bogu! — odsapnęła. Postała chwilę na perci. — Kiek sie unizyła popod Gronik, to mi sie teraz trza brać na lewom ręke — rozumowała. — Ano, podźmy!

Idąc wartko, z oczyma wdół zwróconemi, oddała się rozmyślaniom. Więc o tem jako se trza będzie teraz życie urządzić we wsi, o tem jako to na hali było dobrze, o tem co wypadnie zrobić, gdy ją Wojtek Jarząbków znowu miłowaniem swojem prześladować pocznie.

Potem przyszedł jej na myśl Głowac... a wraz z nim widma wszystkich strasznych opowieści zasłyszanych niedawno na hali, opowieści, którym zdrowy rozum trwoży się dać wiary, by go nie opętał wieczysty niepokój, a w które przecie i nie wierzyć trudno, gdy się samemu widziało rzeczy...

Nagle połapała się, że nie stąpa już po perci, ale po upłazie jakimś, ostrą skałą zarzuconym. Od kiedy zboczyła z drogi? Od jak dawna wogóle już idzie? Było li to pół godziny, godzina, czy więcej? W tym ciężkim tumanie i rachuba czasu traciła się jakoś...

— Musem wejść znowu na perć...

Przeszła kawałek w lewo, potem kawałek w prawo, perci

nie było ani tu, ani tu. Lecz przecież wie, że ku dolinom schodzi się na lewo popod Kopę. Ruszyła więc biegiem na skrót, w dół.

— Teraz słysem potok pod Grzendom! Dobrze jest!

Upewniona szumem potoka, zbiegała dalej uboczą; po chwili jednak szum, miasto zbliżyć się, zesłabł.

— Schodzem po drugiéj stronie Grzendy. Trza sie wrócić kawalontko ku górze i przewinąć na drugom strone.

Zawróciła i piąć się znów zaczęła do góry. Lecz zbocze nie chciało się jakoś wedle jej przewidywań skończyć.

Teraz wiedziała już napewno, że zbłądziła i nieswojo jej się zrobiło.

— Nie pódem dołu, bo jescebyk wlazła kany w las, i coz pote bedzie? Jakoz po nocy trafie? Pockom. Moze się przecie ta mraka ozeńdzie. Przecie znam dobrze Kopy i chojbyk zamirknena, to i co? Kie ino obace chojby jedno światełko we wsi, nie biéda bedzie dojść!

A jak nie będzie światełka ani jednego? A jak się mgła nie podniesie?

— Zimno tak stać... Lepiéj przecie iść... — Dreszcz nią wstrząsnął, jęła biedz szybko pod górę. Potem spróbowała trochę w bok, i wlazła niespodzianie w kosówkę.

— A to-jek głupia, głupia! Tojto przecie upłaz pod Kopą! A to-jek pięknie wlazła! Jale zek sie tez ani obejrzała, kielek dale zbocyła! Teraz by zaś wypadało zeńść dołu a pote wziońć sie do góry grzendom... Nié! Sproscem se bez wirch!

I znów w górę i znów w górę bez końca. Lęk w niej wzbierał coraz większy i podchodził do gardła. Niedawała się; darła na szczyt onego Gronika bez wytchnienia, nie zastanawiając się już i nie dziwiąc temu, że kosówki coraz były gęstsze, ubocz coraz stromsza, coraz to progami skalnymi poprzerywana.

W pewnej chwili wydało jej się, że musiała wyleźć z za jakiejś grzędy, czy może już dochodziła grani upłazu, bo nagle zaleciał głośny szum potoku.

— Hwałoz Bogu, potok pod Grzendom!

Powiedziała to bez przekonania, próżno usiłując pokrzepić złudną wiadomością serce, zamierające od strachu i zmęczenia. Straciła już i przybliżoną nawet miarę czasu. Mogło być już dwie, mogło trzy lub cztery godziny, jak tak idzie...

— Nie daj Boze, nie daj Boze złego... — powtarzała w kółko bezmyślnie.

Gdy podniosła raz uznojoną twarz, zasiekły ją po niej drobne igiełki. Postrzegła też ze zdziwieniem, że szare rękawy cuszki osiadł szron. Wytężyła wzrok w nieprzeniknioną białość mgły. Nie była to już jednostajna, czysta opona; poruszała się teraz w szybkich, niepochwytnych miganiach.

To leciał śnieg, wartki, drobny, rzadki jeszcze...

— Śniég, raty, śniég...

Niedobre przeczucie ułapiło ją za grdykę. Gorzki smak w ustach wykrzywił twarz jak do płaczu. Opierała się całą siłą lękowi, czując bezwiednie, że będzie śmiertelny. Wargi jej powtórzyły z uporem:

— Słysem przecie potok pod Grzendom!

A potem ze ściśniętego gardła wydarł się wrzask, którym próbowała rozpaczliwie utrzymać się jeszcze przy zdrowych zmysłach.

— Eee hej!

Wrzeszczała z całych sił i przeraźliwie. Nuż kto usłyszy, nuż są niedaleko ludzie, nuż kto odpowie..

Ale sama w to nie wierzyła; niemożliwe to przecie, żeby się w takiej mrace ostał jeszcze kto w górach. I miasto nabrać

otuchy, osunęła się w najwyższej trwodze, gdy zdaleka, z bardzo daleka, doleciało ją wyraźne wołanie:

— Ho — hooo...

Głos niósł się z góry, znów z góry i z tak daleka...

Zamknęła oczy i dzwoniąc zębami siedziała bez ruchu, nie zdolna zebrać myśli, nie zdolna nawet modlić się.

Gwałtowny powiew zimnego wiatru przejął ją dreszczem i przywiódł do ocknienia. Mgła rozsnuwała się szybko, jakby chcąc ją odrazu pouczyć o prawdzie. Oto widzi już o trzy, o cztery, o dziesięć, dwadzieścia kroków, na rzucenie kamieniem... Wyłaniają się zarysy obcego jakiegoś miejsca... Czarna zwarta ściana... rosłe kępy kosówek... wiszar jakiś, oberwane, strome piętro, za którem huczy strumień...

— Jezus Maryjo, Jezus Maryjo, złe mie zwiedło, złe mie zwiedło...

One zbercenia, one nawoływania, ten głos słyszany jeszcze przed chwilą...

— Jezus Maryjo...

Wprost przed nią samo niebo tylko, szare, chmurne...

Daleko w dole wynurza się na chwilę widok hali z ciemnemi plamami szałasów... I znów zasnuwa...

Głośny, straszny szum potoku lecącego tuż...

— Jezus Maryjo, siklawa, siklawa...

To już nie lęk przed zabłądzeniem, to świadomość, że się dzieje rzecz straszna, bo oto pozbawioną została własnej woli, a władzę nad nią objęła obca jakaś moc...

A mgła opuszcza się znów, biała, nieprzenikliwa, kłębiona przez zimny wiatr, wstający w coraz częstszych podmuchach...

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY.

JAKO MGŁA PRZEMÓWIŁA I NA JAKI TO SPOSÓB WZIĄŁ SIĘ HALNEGO SYN.

— W imie Oca i Syna i Ducha świentego amen. Matko Boska Ludźmirska zlutuj sie nademnom. Panie Jezu miłosierny, Ty wiés, cy jek zrobiéła co złego, zeby mie te góry moje rodzone tracić miały. Panie Boze wielgi, ukarz mie jakek zabacyła kie, ze tu, jako i sendy indziéj, jest Twoje świente mieskanie. Wszyscy Świeńci i ty niebozycko krzesna moja, stawcie się za mnom! Zlutuj sie Boze nademnom, a chojby i umiérać przisło, nie daj ode złego, jale pod Twojom przenaświentsom opiekom!

Dźwignęła się z klęczek i ze spokojem a wielką powagą przeżegnała szerokim ruchem powietrze w cztery strony świata.

— Selki duh Boga hfoli! Jest-jeś Złe, zniknij, przepadnij na wieki wieków! W imie Oca i Syna i Duha świentego amen.

Teraz była pewna, że cokolwiek by jej krzywdę wyrządzić chciało, samemu Bogu się sprzeciwi. Toteż nie trwoga już, a tylko okropne wzruszenie ją ogarnęło, gdy ponad nią rozległ się nagle głos:

— Nie bój sie dziéwce, i ja Boga hfolem. Nie wróg ja téz, bez strahu se mnom!

Podobne to były słowa owym, niezapomnianym, z które-

mi zawitał kiedyś nieznajomy gość do chałupy pod Czarnym Reglem.

— Jezus Maryjo...

— Jest ja tu od tego, zeby niebozycki krzesnéj twojéj wole wypełnić, i nic sie tu nie dzieje i nie stanie proci temu!

Drżąc, chłonęła chciwie słowa, obracające całą jej poprzednią trwogę w niezaznany nigdy, radosny niepokój. W myśli kręciło jej się niecierpliwe pytanie: — Jest-je to sam-ten głos? Jest je sam-ten?

Ale Jewka głosu tego nieznała. Znali go tylko juhasi i znamy go my, którzyśmy słyszeli, jak prawił bajdę o wietrze Halnym...

— Niebozycka Leśna naznacone miała posłanictwo, co mu sie nie w pore sprociwiła śmierzć. Pokiela sie nie stanie, co sie bez niom stać miało, dusa jéj do scęśliwości niebieskiéj nie weńdzie. Dzisiok wej, bez ciebie jednom stać sie ono moze. A jesce to wiedz: nie wywiedło cie tu nijakie złe, samo tak, jako cie przódy nijakie złe z dolin ku halom nie wywiedło. Wywiedła wola krzésnej, co cie inemu światu przeznacyła. Mas nieprzymusonom wole mieć wedle tego posłuseństwo, chybaj za mnom! Nimas, nik cie niewolił nie bedzie, droga dołu przezpiecna, mozes iść ku hali...

W tej chwili, jakby zrzuciła z siebie jakiś wychodzony przyodziewek, odpadło od Jewki całe jej życie dólskie, wszystkie ludzkie nawyki, wszystkie przywiązania, wszystko człecze rozumienie, wedle którego to co jest, jest takie, a nie inne.

Zdawała się opiece nieznanego, wolna od troski, co się z nią stanie. Odrzekła bez wahania drżącym ze wzruszenia głosem:

— Mom wole.

Głos ze mgły ozwał się radośnie:

— Chybaj hore!

Próżno wpijały się w mgłę jej oczy, bolące już od ślepoty. Widno było zaledwie na trzy, cztery kroki. Rzekła bezradnie:

— Nimogem doźréć...

— Stań se przodem do wanty i bier sie śmiało na lewom ręke. Tak do siklawy. Od niéj w góre poza bule i wedle wody ku stawu. Przi brzegu perć w prawo pomiędzy kosówki a pote piarg spadzisty jaze popod skały. Jest hań żlebów trzi; sytkie do piargu schodzom a w jednym śniég stary. Na nim kosówki gałąź na znak, ze je ten. W żlebie pazdurami skały sie trzim, a patrzaj coby kierpiec nie skiełznon. Nie bój sie nic, chojby sie i kurniawa puściła i chojby zamirkało. Chybaj ino na grań!

— Cy was nie uwidzem?

Głos zaśmiał się.

— Hej raty, nie mgła to ludzkie ocy zasłania, nié! Uwidziałabyś ino ciało człece, a ja nie człek! Jale dziś jesce, zakiel noc zapadnie, otworzom sie ocy twoje. I wte cas na cie!

— Co mam skonać?

— Rzeknies te słowa: ten co za nim sukocie, ceka was hań na grani, kany sie lo mnie wrota do wasego świata ozwarły...

— Rzeknem te słowa: Ten co za nim sukocie, ceka was hań na grani, kany sie lo mnie wrota do wasego świata ozwarły...

— Prawda. Boze cie prowadź, dziwce!

— Jakoz was zwać mom?

— Zwij mie dziś: głos ze mgły. Jutro, kie sie wola krzesnéj wypełni, nazwies mie jako ta bees fcioła...

Głos ucichł. Jewka stała jeszcze nasłuchując, czy się nie ozwie, ale nie ozwał się więcej. Z bijącem sercem zwróciła się wedle przykazania na lewo i iść poczęła na oślep ku huczącej głośno siklawie, na oślep ku swemu niewiadomemu przeznaczeniu.

— Wola krzesnéj, wola krzesnéj... Fto béła ona? Fto béł

on i fto zaś jest-je ten dziś? Dowiem sie zakiel ćma zapadnie! Dowiem sie, dowiem sie!...

— Krzesna moja, matko lepsa od rodzonéj, niegze wam sie świéci światłość wiekuista, zeście o mnie nie zabacyli!

Nie dziwiło jej już nic. Przecie się i drzewiej nie dziwowała tak własnym myślom i swojej inszości, jak właśnie temu, jaki to jest ten świat, co się go widzi i słyszy, a co na wszystkie niespokojne pytania odpowiada milczeniem... Groźne było to milczenie; w bajdach a cudach, któremi karmiła ją stara Leśna, ślepe oczy i głuche uszy tyle były pomocne, co i w tej mgle dzisiejszej... Wspomniała wędrówki swe po górskich pustaciach, tysiączne zwidy... niedopatrzone, tysiączne szepty... niedosłyszane, chwile trwóg i chwile gorących modlitw o znak, o objawienie... Czemuż by się miała cudować światu dziś, gdy modlitwy jej zostały wysłuchane?

— Ku siklawie, ku siklawie! Tu juz potok, zaraz bedem przi niéj...

Wychyliła się z za jakiejś skałki i nagle zahuczał tuż przed nią niewidzialny wodospad. Stanęła przejęta pobożną grozą.

Od tej wody, co się tu przelewa z wysokiego stawu, jak krew otwarta z serca gór, leci ów głos tajemniczy po szerokiej okolicy, oddech hal i roztok, nigdy nie milknący gwar górskiej ciszy. Jest blisko przy nim, tuż, niby przy samem jądrze tajemnicy...

— Tyześ to wodo, tyześ to... Piéknie hucys, piéknie i siélnie i strośnie... Jale i radośnie, nima tu dzisiok lo mnie boja nijakiego!

Jęła wspinać się zakosami pod górę. To już piętro, teraz po równem do stawu... Słabnie, traci się, ostaje w dole huk siklawy... Tu zaczyna się kraj inny, martwy i groźny. Wiatr szumi w kotle skalnym, wysoko w kłębiącej się mgle zamajaczy

chwilami grzebień wierchów. Zachlupotały drobne fale o skalisty brzeg jeziora.

— Raty, co jest-je takiego w tyk górach? Jest-je to złe, przed cém skóra na cłeku ciérpnie? Nié, to ino strah... Ino strah...

Bo to, bywa, nie obleci panny młodéj przi ołtarzu strah? Cy to po dziéwce samo-tak ciarki nie chodzom przed hłopem, chojby tam niewiem jaki béł dobry, jak przed cém złém? Przed złém? Bajto, a cemu sie wej sama pcho ku niemu?

Samo-tak iz temi górami...

Samo-tak iz tom mojom drogom...

Jezus Maryjo, co se mnom bedzie, co...

Wedle stawu, przikazował, w prawo... A no, tędy, tu wej perć...

Szła szybko pośród wysokiej kosodrzewiny, percią gubiącą się w mokrej, ostrej trawie i kępach borówek. Przez głowę przelatywały jej setki myśli wartkich, niecierpliwych. Czasem wargi powtarzały w kółko to samo zdanie, rytmicznie, jakby znacząc miarę w stąpaniu umęczonym nogom.

— Rzekne tam: Ten, co za nim sukocie jest-je hań, na grani, kany sie lo mnie wrota do wasego światu ozwarły... Jest-je hań na grani... Jest-je hań...

Jako sie to wrota przedemnom ozewrom? Jako sie one ozewrom? Jezus Maryjo... Krzesna moja, krzesna...

Perć jęła się pokręcać w górę. Kosówki zrzedły, a na ich miejsce wyrastały z ziemi ogromne, szaro-zielone maliniaki. Wreszcie straciły się trawy i borówki. Jewka spinała się po nagim, stromym piargu, nie zważając na obolałe stopy, na których usypliwe złomisko darło cienki kierpiec.

— Hej raty, nie dziw-ze to, ze choj niewiem fto jest, chojek go ani nie widziała, poniewolił mie słowem, ze radabyk ino

słuhoć, a słuhoć! Hej, słuhoć, chojbyk miała całe zycie po ostrej skale chodzić!

Ino cemuz sie nie fcioł ukazać...?

Wspomniała sobie nagle dawno kiedyś słyszane słowa starej Leśnej: — Jarząbków Wojtek? Nie lo niego i nie lo takich jako on cie chowam. Bees miała freira, jakiego nimiała zodna! Nie bój sie, da ci rady, ze i twoje ręce choj siélne, bedom przi nim jako flaki...

Spełnia się wola Leśnej. Więc może oto właśnie idzie na spotkanie owego mocarza...

— Ej, hłop ci téz musi być, hłop!

Niespodzianie osobliwa naszła ją troska; spojrzała po brudnej cuszce, zmokłych kieckach, pomacała się po twarzy, po przylepionych do niej pasmach włosów.

— Bozez mój, kiela-jek brzyćka...

Stanęła dysząc, gdy się przed nią wynurzyła zwarta, granitowa ściana. Wiatr nie zawiewał tu wcale, puściła się natomiast siompawica gęsta ze śniegiem i zmusiła do odziania na rękawy cuchy, dla lekkości na opaszki zarzuconej.

— Kanyz ten źleb?

Postała trochę dla odsapnięcia przed czekającą ją, twardą drogą. W chwilę później, rzednąca chwilami mgła ukazała jej wydłużony koniec piarżystego klina i gardziel szerokiego żlebu.

— Jest-je to ten?

Podeszła pod samą ścianą ku krańcowi piargu i wspięła się krzynę pomiędzy skały. O parę kroków zabielał przed nią skrawek skorupy śniegowej. Kiedy doń doszła, znalazła świeżo zerwaną kitę kosodrzewiny i wyrobione w śniegu stopnie. Tajemniczy opiekun szedł tu widać przed nią.

— Troske ma o mnie. Ino cemu, cemu sie nie ukaze? Hej, dognać ino na grań! Uwidzieć sytko, poznać sytko! Niegze be-

dzie jaki fce, nimoze być zły, kie mie ku dobremu wiedzie, a o krzesnéj wole dba!

Spojrzała na swoje mocne, spracowane ręce i uśmiechnęła się. Przyszedł jej na myśl Jarząbkowy Wojtek.

— Wiera! Byłbyś mie rad témi swojémi flakowatémi garzciami obłapił a poniewolił, jako ten ino słowem poniewolił!

Odwinęła rękawy i jęła szukać na skale chwytów bezpiecznych, któreby się pod palcami nie oberwały, na których by mokry kierpiec pewnie mógł stanąć. Unosząc raz wraz ciężkiej kiecki, raniąc gołe kolana na ostrej skale, mając w baczeniu zasłyszane nieraz opowiadania doświadczonych strzelców, ostrożnie, powoli i żmudnie pięła się w górę, to dnem żlebu, to jego bokami.

Drobna siompawica zamieniła się w suchy śnieg. Bieleć poczynały półeczki skalne i trawki, na których zrzadka pochylał zczerniałą główkę zwarzony kozłowiec.

Moc nadludzka wspierała Jewkę w tej drodze. Gdyby nie ona, nigdy by się nie były jej skostniałe palce i umęczone stopy utrzymały na strasznem urwisku.

Wiatr wiuchał coraz częstszy i mocniejszy, czasem odwiewał mgłę, iże dostrzedz można było tumany kotłujące się wściekle nad granią. Od dołu wypełzał żlebem szary mrok, zapadała ćma.

Mroźny podmuch z góry dał jej poznać, że niebawem dojdzie kresu swej drogi. Za chwilę też skończył się żleb. Teraz jeno tą półeczką, poza bulę skalną w prawo...

Stanęła z bijącem okropnie sercem pod przewieszoną ścianą. Zawahała się chwilę... Spuściła drżącymi palcami rękawy na skostniałe dłonie, potem zatuliła się mocno w cuszkę.

— Ten, co za nim sukocie... Jest-je haw... kany sie lo mnie wrota ozwarły... Haw, ten co za nim sukocie... kany sie wrota...

Kilka szybkich kroków, i stanęła na grani.

Gwizdnęła wściekła fujawica, smagnęła w twarz, rzuciła o skałę. W tej samej chwili podparły ją z tyłu jakieś ramiona i przeraźliwy głos ryknął jej w ucho:

— Cuhe! Cuhe ozwiroj!

Przez oszalałe myśli przeleciała błyskawicą daleka, ostatnia już z dólskiego świata rodem, groźba: — Ftora sie nie dopnie... te porwie...! — Nieprzytomna z trwogi rozdarła oburącz okrycie aż do koszuli.

Uderzył ją w piersi mróz okrutny, skłębił się tuman śniegowy, oślepił, zakręcił, oderwał od ziemi, cisnął w lot jakiś, w którym stracił się czas i przestwór i myśl...

. . . .

Straszne ci to były czasy, onej jesieni i zimy. Burze hulały po całem podhalu, jakich najstarsi ludzie nie pamiętali. Wichry korczowały całe zbocza, łamały wpół smreki, jawory i buki. Z domów dachy sfruwały, niosąc się powietrzem jako płachty, ówdzie całą chałupę dźwigło, zniosło z podmurówki, przewaliło. Potem śniegi spadły okrutne, a nie zdążyły przymarznąć, bo je wicher roznosił, mącąc kurniawą jak lodowym piaskiem. Zasuło wsie i drogi nieprzebytemi wydmami, zawaliło trupami drzew. Ludzie siedzieli po domach strwożeni, wyglądali przez szpary zawianych okien do pola i mówili:

— A to ci wiatry weselisko odprawują!

. . . .

Na drugie lato, strzelec jeden, co się był na kozy we Wołoszyna wybrał, naszedł pod turnią kości zbielałe, objedzone przez leśne, dzikie stwory. Nabożny był człek, zewłok, że był

ludzki, we worku we Waksmundzką polanę poniósł, gdzie go juhasi w lesie pogrzebli i krzyż nad nim ustawili.

Nic tam przy tej mogile nie straszy — może każdy przejść, choćby w nocy, bez trwogi. Straszy tylko na mogiłach ludzi umarłych, a ten zewłok to był ino jakby skóra wężowa na wiosnę zrzucona.

Taka to wej jest bajda o Niemrawcu, a kto nie wierzy, jako chce! Pytać się można wiatru halnego, ale nie każdy rad go słucha.



6